

**Juliusz Verne**

**Mateusz Sandorf**

**(przełożyła Halina Zajązkowska)**

## CZEŚĆ I

### I

Słońce chyliło się już ku zachodowi, rzucając ostatnie gorące promienie na błękitne fale Adriatyku i białe domy Triestu piętrzące się na stromych zboczach wybrzeża. W porcie był ruch nieznaczny. Kilka statków stało w niewielkiej odległości od brzegu, a kilkanaście łodzi rybackich drzemało w przystani.

Gorące słońce odpędziło ludzi od roboty, zmuszając ich do szukania chłodu i cienia pod dachami domów i winiarni. Pusto było w porcie, pusto na ulicach. Na długim kamiennym molu wchodzącym głęboko w morze, stało dwóch ludzi. Jeden, smukły, zgrabny, o śniadej twarzy i, pomimo ciemnego koloru skóry, uderzającej piękności, miał ruchy nerwowe, niespokojne, zdradzające jednak dobre wychowanie i obycie w lepszym towarzystwie. Drugi, typowy włóczęga włoski, zaniedbany w ubraniu, o ruchach leniwych, wpuścił obie ręce głęboko w kieszenie spodni i sennymi oczami patrzył

na morze.

– Chodźmy już, Sarcany – odezwał się znudzonym głosem. – Już mnie nogi bolą od tego łażenia bez celu. Chce mi się wściekle jeść, a ty latasz jak wariat po brzegu.

– Ciekawym, dokąd pójdziemy?

– W każdym razie nie będę patrzył ciągle na to morze. Chodźmy do miasta. Między ludźmi łatwiej nam się trafi okazja zjedzenia śniadania.

– Ciekawym, czym za to śniadanie zapłacisz?

– Ja nie zapłacę, ale ty masz stosunki z bankiem wielmożnego pana bankiera Silasa Toronthala, to ci łatwiej o flotę.

– Już ci mówiłem i raz jeszcze powtarzam, że mi się nic z banku nie należy i nie mogę liczyć na ich łaskawość.

– No, a te drobne tajemnicze usługi, coś im oddawał?

– To są stare dzieje. Silas teraz bardzo zmądrzał i nie daje się tak łatwo nabrać na pieniądze.

– W każdym razie ja tu dłużej nie zostanę. Sam widok tej wody przyprawia mnie o mdłości.

Zeszli z mola i poczęli się piąć wąskimi uliczkami ku górnemu miastu. Patrząc na nich, nietrudno się było domyśleć, że zetknęła i połączyła ich ze sobą bieda, ale kim byli, jaką mieli przeszłość, do czego byli zdolni, trudno by zgadnąć. Sarcany mówił o sobie, że pochodzi z Tunisu. Ojczyznę Zirona była podobno Sycylia. Jakie okoliczności przyniosły ich obu do Triestu, tego nie mówił ani jeden, ani drugi.

Wspinali się wolno pod górę, zmęczeni głodem i upałem.

– Patrz, Sarcany tam, na wieżyczkę kościoła! Widzisz tego gołębia? Coś mu się stało. Nie może lecieć. Patrz, spada!

– Bardzo to szczęśliwie dla nas. Będziemy mieli śniadanie.

W kilka chwil później Zirone ze zręcznością zawodowego gołębiarza pochwycił spadającego ptaka.

– Ukręcę mu łeb i zaniosę do tej garkuchni na rogu. Sądzę, że nam nie odmówią i upieką.

– Zaczekaj – odezwał się Sarcany – przypatrzmy się gołębiowi. To nie jest naturalne, żeby ci w biały dzień spadał gołąb na głowę. Coś mu się stało. – Obejrzał ptaka uważnie. Na prawej nodze miał on metalową obrączkę z literami A. T. Był to niewątpliwie gołąb pocztowy. Oddychał z trudnością. Widocznie przebył daleką drogę. Sarcany odchylił skrzydełko gołębia.

– A co, nie mówiłem! Pokaż no, mały, co ci tu kazali transportować!

Pod skrzydłem ptaka była przymocowana kartka, złożona kilkakrotnie. Sarcany rozchylił ją ostrożnie.

– Zirone, wyjmij no z mojej kieszeni ołówek i kartkę papieru i pisz co ci podyktuję. A uważaj, żebyś się nie omylił.

Sycylińczyk spełnił rozkaz towarzysza bez protestu. Podczas paromiesięcznej włóczęgi nauczył się cenić rozum i doświadczenie swego nowego przyjaciela. Przekonał się bowiem wielokrotnie, że Sarcany z. niejednego pieca chleb jadł i wiedział wiele rzeczy, o których Zirone nawet nie słyszał.

– Uważaj jaka jest wielkość kartki, a teraz pisz, tylko w takim samym porządku, jak tu napisane.

hkęw sarw zzgć yreś sio

łno gik ela Ido pei

wos day nat swo pyc

zsw ust ire żyt nad

każ nań ewg oto okt

– Co to znaczy? Nic nie rozumiem – mruczał Zirone, kreśląc mozolnie dyktowane litery.

– Ja też nie rozumiem, mój stary – odparł Sarcany – ale mam nadzieję, że zrozumiem. Takie rzeczy przynoszą czasem dobre pieniądze, tylko wymagają cierpliwości. A teraz puśćmy naszego listonosza. Już odpoczął tyle, żeby trafić do domu.

Sarcany podrzucił gołębia w górę i obaj z Zironem śledzili bacznie lot ptaka. Serca były im niespokojnie. A nuż ptak wyleci z miasta i zniknie im z oczu. Stali z zadartymi głowami, nie spuszczać oczu ze srebrnopiórego posłańca. Ale gołąb wzbił się wysoko, jakby się chciał zorientować w miejscowości, kołował czas jakiś nad dachami domów i wreszcie spadł na wieżyczkę ustronnej willi, którą zasłaniały stare, rozłożyste drzewa, i znikł patrzącym z oczu.

Bystry wzrok Sarcany'ego dostrzegł na dachu wieżyczki jedynie blaszaną chorągiewkę w kształcie smoka, ale ani ulicy, ani domu nie mógł rozpoznać.

Hrabia Mateusz Sandorf pochodził ze starej węgierskiej rodziny. Po śmierci ojca odziedziczył rozległe dobra na południowych stokach Karpat i, mając lat trzydzieści kilka, był jednym z bardziej znanych i cenionych członków arystokracji węgierskiej. Wiedeń bacznie i ostrożnie śledził słowa i czyny hrabiego Sandorfa. Jego nienawiść do wszystkiego co niemieckie i niechęć do dworu panującego, a jednocześnie wpływy i poważanie, jakim się cieszył na Węgrzech, robiły zeń człowieka niebezpiecznego dla panującej dynastii, a nawet całości austro-węgierskiej monarchii. Hrabia nie był zaczepnego usposobienia. Łatwo darował uchybienia i urazy, o ile dotyczyły jego osoby. Natomiast nie darował krzywdy uczynionej komuś z jego przyjaciół i gotów był w ich obronie posunąć się do ostatecznych granic.

Wysoki, silnie zbudowany, od dzieciństwa nawykły do ruchu, sportu i konia przedstawiał doskonały typ Madziara.

W obejściu był ujmujący, miły, serdeczny, ale pomimo to wzbudzał zawsze szacunek i podziw.

Po śmierci żony, którą bardzo kochał, zamknął się z małą dwuletnią córeczką Iloną w starym zamku Artenek i oddał się z zapałem pracy umysłowej.

Był z wykształcenia lekarzem, z zamiłowania chemikiem, a jego liczne prace z tej dziedziny wyrobiły mu głośne imię w świecie naukowym.

Iloną opiekowała się pani Rozena Lenky, żona plenipotenty hrabiego. Pokochała ona całym sercem maleńką i starała się, żeby dziecko nie odczuło braku matki.

Mijały miesiące i hrabia Sandorf, ochłoniwszy z ciężkich wspomnień i myśli o ukochanej żonie, począł się interesować wypadkami, które wstrząsnąwszy Europą, mogły zaważyć na losach jego ojczyzny.

Wojna francusko włoska 1859 wzruszyła w posadach potęgę państwa austriackiego. Klęska pod Sadową w 1866 wydała nie tylko Austrię ale i Węgry na łup Niemcom.

Nadeszła chwila działania. Sandorf miał przyjaciół w osobie hrabiego Władysława Zathmara i profesora Stefana Bathary'ego. Obaj mieszkali w Trieście, gdzie hrabia Zathmar posiadał małą willę, ukrytą w cieniście ogrodzie, z daleka od gwaru i ruchu portowego, a profesor zajmował skromne mieszkanie na Corso Stadion, w tej samej dzielnicy.

Policja daleka była od przypuszczenia, że w cichej willi hrabiego Zathmara schodziły się wszystkie nici konspiracyjnego związku powstańczego, ogarniającego całe Węgry i że gołębie, fruujące nad niskim dachem, przynoszą mieszkańcom domu wieści z ojczyzny.

Hrabia Sandorf, wezwany naglącymi sprawami, wyjechał do Artenak, a dwaj jego przyjaciele oczekiwali z niecierpliwością na wiadomości od niego.

W kilka dni po przybyciu gołębia, którego tajemnicę posiadli

Sarcany i Zirone, hrabia Zathmar i Bathary zajęci byli układaniem nowego pisma szyfrowego, którym posługiwali się w listach do związkowych. Tajemnica polegała na tym, że do czytania szeregu liter, ułożonych pozornie bez sensu, używano małej papierowej szachownicy, której kwadraty, odpowiednio wycięte, pozwalały czytać te litery, które składały dany wyraz, zasłaniając jednocześnie litery, przeznaczone do odczytywania w innym układzie tablicy i listu.

Ponieważ wszystkie listy palono natychmiast po przeczytaniu, spiskowcy byli pewni, że nikt ich tajemnicy nie posiada.

Po wyjeździe Sandorfa na Węgry, liczba gołębi, przybywających do willi hrabiego Zathmara, znacznie się wzmogła. Co wieczór przychodził profesor Bathary i długo w noc obaj przyjaciele prowadzili tajemnicze rozmowy. Oczekiwali z niecierpliwością powrotu Sandorfa. Zjawił się pewnego wieczoru, przynosząc im radosną wiadomość, że Węgry gotowe są do akcji zbrojnej i tylko czekają na hasło, żeby chwycić za broń.

– Wszystko gotowe – mówił Sandorf – Buda i Peszt będą zajęte w ciągu jednego dnia, a nowy rząd może w każdej chwili rozpocząć prace.

– A jakież nastrój panuje wśród ludności? – zapytał Bathary.

– Profesorze, czyż znajdzie się na Węgrzech serce, które by nie zabiło radośnie na widok chorągwi Korwina? Co do tego, bądźmy spokojni. A cóż tu nowego słyszeliście w Trieście?

– Ano, budują arsenały i port wojenny. Miasto protestowałoby, gdyby się nie bało odwetu. Robotnicy pracują niechętnie. Sądzę, że sprzyjaliby naszej sprawie, bo również mają dość austriackich rządów.

– A więc jutro będę w banku – odezwał się Sandorf. – W rozmowie z Toronthalem poleciłem, żeby miał przygotowaną całą gotówkę, gdyż lada dzień będziemy zmuszeni ją podjąć.

10

Hrabia Zathmar i profesor przyjęli tę uwagę w milczeniu. Obaj nie posiadali kapitałów i mogli ofiarować ojczyźnie tylko siebie i swoją pracę. Natomiast hrabia Sandorf zebrał wszystkie pieniądze, zaciągnął olbrzymią pożyczkę na swe podkarpackie dobra i sumę około dwóch milionów florenów zdeponował w banku Silasa Toronthala, by mieć całą kwotę do rozporządzenia w chwili, kiedy ojczyzna jego będzie w potrzebie.

Późnym wieczorem profesor odprowadzał hrabiego Sandorfa do hotelu. Kilkakrotnie zdawało im się, że jakieś postacie ludzkie posuwają się za nimi w nieznacznej odległości. Poczęli zwracać na przechodniów baczniejszą uwagę. Hrabia Sandorf zatrzymał się nawet i, dostrzegłszy jakiś cień ukryty za drzewami parku, skierował się ku niemu. Ale cień zniknął, jakby się rozpułynał we mgle.

Bankier Silas Toronthal był uważany za jednego z bogatszych ludzi w Trieście. Jego operacje giełdowe i olbrzymi kredyt, jaki posiadał nawet poza granicami monarchii austro-węgierskiej, czyniły zeń powagę finansową tak wielką, że ze zdaniem jego liczone się na giełdzie i w mieście.

Podobno był bardzo bogaty. Mieszkał wraz z żoną we wspaniałej willi na Acquadotto. Miał liczną służbę i powóz. Wprawdzie szeptało się do ucha, że wojna francusko-włoska nadszarpnęła jego interesy, a klęska pod Sadową była również i klęską domu Toronthala, ale wiadomości te mogły być powtarzane, czy też zgoła wymyślone przez ludzi złośliwych, albo takich, którym zależało na podkopaniu kredytu Toronthala. Urzędnicy banku zauważyli wprawdzie, że szef ich bywał często zamyślony albo rozdrażniony, co mu się dawniej nie zdarzało. Znano go jako człowieka bardzo zarozumiałego i pyszałkowego, nie cieszył się też sympatią ludzką. Gdyby mu interesy nie dopisały, albo gdyby miał poważne kłopoty finansowe, nie mógłby liczyć na współczucie podwładnych i znajomych. Opowiadano sobie po cichu, że bankier prowadzi jakieś bardzo dochodowe, ale i ryzykowne interesy na południu. Podobno w Tunisie prawą jego ręką był niejaki Sarcany, postać dość niejasna, ale jakiego rodzaju były to interesy, również nikt dokładnie nie wiedział. Firma miała opinię ustaloną, co też skłoniło hrabiego Mateusza Sandorfa do ulokowania wszystkich swoich pieniędzy w banku Toronthala. Cała suma miała być wypłacona hrabiemu z dwudziestoczterogodzinnym wymówieniem.

W parę dni po wyżej opisanych wypadkach Sarcany wszedł do banku Silasa Toronthala i, nie pozwalając się wżnemu meldować, otworzył drzwi do prywatnego gabinetu bankiera. Na widok Sarcany'ego Silas zerwał się z fotela.

– Co? Jeszcze pan tu jesteś? Przecież posyłając panu pieniądze wyraźnie zazaczyłem, że to są pieniądze na drogę. Ani grosza więcej nie dam! Na co pan jeszcze czekasz?

– Przede wszystkim na to, żebyś się pan uspokoił. Nie mogę mówić o interesach z człowiekiem, który nie panuje nad sobą i jest podniecony.

– Żadnych interesów z panem nie miałem i mieć nie będę.

– Mija się pan z prawdą, panie bankierze, miewaliśmy wspólne interesy. Pieniądze, które otrzymywałem z banku, nie były zapomogą, ani wsparciem, a tylko zapracowaną pensją maklera i agenta.

– Nigdy nie uważałem pana za urzędnika banku. Ublżyłbym tym swoim pracownikom. Płaciłem panu za drobne usługi i nic więcej.

– No, nie były one tak drobne, jak się panu zdaje, panie bankierze. Drobne usługi nie ściągnęłyby panu na głowę dużych przykrości i możliwego zatargu z prokuraturą.

– To są puste słowa mój panie. Wiesz najlepiej, że pomimo grózb i straszenia nie mogłeś nic donieść prokuraturze.

– Co panu nie przeszkadzało płacić mi za milczenie, panie Toronthal. Ale po co mówić o przeszłości. Jestem panu nieskończenie wdzięczny za ostatnią ratę, która mi się diabelnie przydała, i przyszedłem do pana w pewnej sprawie.

– Nie mam ochoty słuchać pana, a tym bardziej rozmawiać o interesach.

– Mam nadzieję, że ta sprawa pana zajmie, ale czy jesteś pan pewien, że nikt nas nie słyszy?

– Cóż to za nadzwyczajne sprawy, wymagające aż tak wielkiej tajemnicy?

– Rozumie się. Ściany mają uszy. Otóż jestem na tropie sprzysiężenia. Jeszcze nie wiem jaki jest cel tego związku, ale jestem przekonany, że jest to spisek polityczny.

– A cóż ja mogę mieć za interes ze spisku politycznego?

– Owszem. Możesz mieć pan zysk.

– A to jakim sposobem?

– Zdradzając go.

Na tłustej twarzy bankiera znikł ironiczny uśmiech. Spojrzał uważnie na Sarcany'ego, jakby go po raz pierwszy widział, i z wielką uwagą wysłuchał historii złapania gołębia i tajemniczej kartki.

– Gdzie się znajduje ten dom i do kogo należy? Sarcany wymienił ulicę i numer domu.

– Byłeś pan wewnątrz?

– Nie. Dom jest pilnie strzeżony przez starego służącego, który nikogo obcego na próg nie wpuszcza. Ale wiem, kto bywa u hrabiego Zathmara i przesiaduje z nim do późnej nocy.

– Widziałeś pan tych ludzi?

– Widziałem profesora Bathary'ego i hrabiego Sandorfa.

Na dźwięk tego nazwiska brwi Toronthala zsunęły się na chwilę. Nie uszło to jednak uwadze Sarcany'ego.

– Widzi więc pan – ciągnął dalej – że nie staram się pana wprowadzić w błąd. Proponuję panu spółkę. Będziemy działali wspólnie i podzielimy się zyskiem.

– Uważam, że ma pan za mało danych, żeby sprawę można było poważnie traktować – odparł pogardliwie Silas.

– Za mało? A to? Czy to również nic nie znaczy – zawołał Sarcany, wyciągając z kieszeni kartkę skopiowaną z tajemniczego listu.

Silas obejrzał kartkę uważnie.

– Czy wiesz, co to znaczy?

– Nie wiem, ale będę wiedział. W życiu swoim miałem niejedną depezę szyfrowaną w rękę i wiem jak się do tego zabrać. O ile się nie mylę, ta do odczytania będzie wymagała siatki albo szachownicy.



– Zgoda. Ale o ile wiem, nie posiadasz pan ani siatki, ani szachownicy.

– Nie mam, ale będę miał.

– Jakim sposobem?

– Jeszcze nie wiem, ale wiem, że będę posiadał.

– No, to ja na pana miejscu nie zadawałbym sobie tyle fatygi.

– A co byś pan zrobił?

– Powtarzam: na pana miejscu poszedłbym do policji tu, w Trieście, i zadenuncjowałbym cały spiszek. Zapewne policja wypłaci panu pewne wynagrodzenie pieniężne.

– To nie dla mnie. Muszę najpierw się dowiedzieć, jakiego rodzaju jest to sprzysiężenie i co zawiera ta kartka.

– Cóż panu z tego przyjdzie?

– Będę wiedział, czy zarobię więcej denuncjując, czy stając po stronie spiskowców.

Silas spojrział na mówiącego i coś, jakby podziw, malowało się w jego małych oczkach. Zdawało się, że nabiera szacunku dla Sarcany'ego, ale był zbyt dobrym finansistą, żeby tak szybko zagrać z przeciwnikiem w otwarte karty. Chciał go wybadać i zmierzyć się z nim. W głębi duszy wolałby całą sprawą zająć się sam i nie potrzebować dzielić zysków z Sarcany.

– Wszystko to bardzo ładnie, mój panie – odezwał się powoli, zapalając cygaro – ale dlaczego zwraca się pan z tym do mnie? Cóż ja mogę zrobić w związku z całą sprawą?

– Liczę na to, że pan przy swoich stosunkach, potrafi mi ułatwić wejście do domu hrabiego Zathmara. Jest mi obojętne w jakim charakterze, ale muszę być w tym domu, gdyż inaczej nie dowiem się, jakim kluczem należy ten szyfrowany list przeczytać. Od tego właśnie zależy powodzenie naszych interesów.

– Jak to naszych? Żadnych wspólnych interesów nie mamy i mieć nie możemy.

– Owszem. Ja w tej chwili potrzebuję pieniędzy i pan musi mi je dać.

– Nie muszę i nie dam.

– Niech się pan tylko znowu nie unosi. Mówmy spokojnie. Zapewne i pan odczuwa w tych ciężkich czasach brak gotówki. Proszę więc sobie uprzytomnić, że z trzech spiskowców, dwóch jest biednych jak myszy kościelne, ale hrabia Sandorf jest bardzo bogaty, a gdyby chciał nam za milczenie zapłacić, nasz kryzys pieniężny minąłby bezpowrotnie.

– A ja panu powiem, że najlepiej byś zrobił opuszczając natychmiast ten pokój.

– Ani mi się śni.

– Wyjdź natychmiast!

– Nie wyjdę.

Nagle u drzwi rozległo się dyskretne pukanie i woźny wszedł do gabinetu bankiera.

– Jaśnie wielmożny hrabia Sandorf prosi o chwilę rozmowy z panem.

– A to jednak znamy się z hrabią – szepnął Sarcany.

– Dlaczegoś mi pan tego nie powiedział?

– Sarcany wyjdź natychmiast – syknął bankier.

– Nie wyjdę! Posłucham, jakie to tajemnice macie ze sobą do omówienia. A może i pan bankier do sprzysiężenia należy. Zaraz się dowiemy.

To mówiąc, jednym skokiem ukrył się w pokoju przylegającym do gabinetu Toronthala i szczelnie zasunął portierę.

W parę chwil później hrabia Sandorf wchodził do gabinetu bankiera.

Silas zerwał się na jego widok i przywitał unizonym ukłonem.

– A cóż za miły i niespodziewany gość – wołał, podsuwając hrabiemu fotel. – Nie sądziłem, że pan hrabia już zdążył powrócić. Jakże się udała podróż?

– Dziękuję panu. Pilno mi było podziękować panu za przechowanie mojego depozytu i uwolnić pana od kłopotu opiekowania się nim.

– Mam zaszczyt zwrócić uwagę pana hrabiego, że dziś czasy są ciężkie i trudno jest o pieniądze, które by nie pracowały, a leżały beczynnie w banku.

– Jak to? Przecież składając w pana banku wiadomą nam sumę, wyraźnie i kilkakrotnie zastrzegłem, że jest to tylko czasowy depozyt, który zamierzam podjąć w najbliższej przyszłości!

– Czyżby pan hrabia był niezadowolony z wysokości procentu? Możemy go podnieść. A czasy są tak niespokojne, można się spodziewać jak najgorszych rzeczy...

– Jak to? Czyżby się na coś zanosilo? Czy mówią o czymś? Oczy Silasa badały uważnie twarz hrabiego.

– Nie. Nie słyszałem nic konkretnego. W każdym razie interesy pana hrabiego były i będą zawsze dla mnie sprawą najważniejszą.

– Dziękuję panu. Chciałbym w tych dniach podjąć całą sumę, gdyż mam zamiar wrócić do domu. Muszę tylko uporządkować pewne sprawy.

– Czy nie mógłbym być w czym pomocny?

– Nie zdaje mi się. Chociaż gdyby pan znał odpowiedniego człowieka, byłbym panu bardzo zobowiązany. Potrzebuję sekretarza, który byłby jednocześnie biegłym rachmistrzem i znał się na prowadzeniu księgowości. Przysłano mi w tych dniach całe stosy zaległych spraw i rachunków z moich dóbr. Nie mam czasu tym się zająć. Jest to robota na parę tygodni.

– Czy pan hrabia potrzebuje swej sumy zaraz?

– Owszem, zgłoszę się po nią za kilka dni.

– Będzie do dyspozycji pana hrabiego. Hrabia Sandorf podniósł się i przeprowadzony przez kłaniającego się bankiera, opuścił pokój.

Po paru minutach Silas powrócił do gabinetu. Zastał tam już Sarcany'ego.

– W przeciągu dwóch dni muszę być wprowadzony do domu hrabiego jako sekretarz.

– Tak – odparł wolno Silas – zdaje mi się, że to jest konieczne.

#### IV

W dwa dni później Sarcany wchodził do domu hrabiego Zathmara, gdzie miał pracować jako prywatny sekretarz Mateusza Sandorfa. Poprzedniego wieczora był u Toronthala, gdzie zawarł z bankierem umowę o podziale zysków w razie, gdyby sprawa im się udała. W zamian zmuszony był pozostawić w ręku bankiera szyfrowaną kartkę. Silas nie podejmował się spraw niepewnych bez dostatecznej gwarancji.

Robota Sarcany'ego polegała na uporządkowaniu rachunków z dóbr hrabiego. Była to praca łatwa i nawet dość przyjemna. Pokój, w którym Sarcany siedział, był duży i widny i miał okna wychodzące na ogród. Nikt mu nie przeszkadzał, bo hrabia Sandorf we dnie bywał w willi rzadko, a hrabia Zathmar pracował w sąsiednim pokoju i z Sarcanym prawie się nie spotykał. Jak się łatwo domyśleć, uwaga sekretarza zwrócona była przede wszystkim na papiery, które miał w ręku. Ale pomimo najstaranniejszego przeglądania szuflad, teczek i kopert, nie znalazł nic, co by rozwiązywało zagadkę tajemniczego listu. Niepokoił się i niecierpliwił coraz bardziej, bo za dwa dni miał skończyć swoją pracę i wiedział, że bezpośrednio potem hrabia Sandorf wyjedzie na Węgry, a wstęp do cichej willi

będzie dla Sarcany'ego zamknięty. Tymczasem w przeddzień wyjazdu hrabiego Sarcany pozostał sam i porządkował resztę papierów i rachunków. Pracował już parę godzin, kiedy uderzyła go cisza panująca w całym domu. Począł nasłuchiwać. Z podwórza doleciał go głos Borika, starego służącego hrabiego Zathmara. Gawędził z kimś i nie spieszył się na górę. Za ścianą, w prywatnym gabinecie hrabiego, nie słychać było szelestu kartek ani skrzypu pióra, które przez tyle dni drażniły nerwy sekretarza. Sarcany wstał i na palcach zbliżył się do drzwi. Zajrzał przez dziurkę od klucza. Nikogo. Błyskawicznym ruchem sięgnął do kieszeni i wydobyl pęk kluczy i wytrychów. Otworzył drzwi i w paru krokach był już przy biurku, które stało przy oknie. Otwierał kolejno szuflady i skrytki. Nie znalazł nic szczególnego. Trochę listów i fotografii. Począł otwierać skrytki. Nagle w niewielkiej, bocznej szufladzie, pod stosem kartek, dostrzegł małą tekturową szachownicę. Ujął ją w drżące ręce. Nareszcie! Położył ją na czystej kartce papieru i dokładnie skopiował. Miała kształt kwadratu pokratkowanego na 36 drobniejszych kwadracików. Kwadraciki były czarne, ale w pierwszym rzędzie trzy z nich były wycięte, w drugim rzędzie jeden. Potem znów jeden, następnie dwa, jeden i jeden. Razem pustych było 9. Na jednym z boków kwadratu wyrysowany był czarny krzyżyk. Sarcany skopiował wszystko, odłożył tabliczkę na miejsce, zamknął szufladę, pokój i usiadł przy swoim biurku. W kilka chwil później za drzwiami rozległy się powolne kroki i przez pokój przesunął się Borik, rzucając niechętnie i podejrzliwe spojrzenie na młodego sekretarza. Późnym wieczorem do drzwi Toronthala zadzwonił Sarcany.

– Mam tabliczkę! Możemy się zabrać do odczytania.

– Jakżeś pan ją dostał?

– To już moja rzecz. Teraz zabierajmy się do roboty.

Ale sprawa nie poszła tak łatwo. Obaj współpracownicy przykładali szachownicę do kartki. Wypadały im pojedyncze litery, które żadnego związku ze sobą nie miały.

– Do licha – klął Sarcany – musiałem się widocznie omylić. Sam diabeł nic tu nie wyczyta.

– Powoli, powoli. Jeszcze się nic nie stało. Dawaj no pan to, coś przeczytał.

Sarcany podsunął bankierowi kartkę, na której wypisał kolejno litery, które wyczytał. Był to jednak szereg wyrazów bez sensu.

– "Pszt, wure, nmb i t. d." Czy to może cokolwiek znaczyć?

Pisz pan to jeszcze raz.

Ale i to nie dało żadnego rezultatu.

Sarcany bawił się nerwowo piórem, i podczas kiedy bankier przyglądał się uważnie wypisanym literom, począł na czystej kartce wypisywać kolejno wszystkie litery, które widział przez wycięte kratki. Otrzymał znów długi rebus, który wyglądał tak:

"hazrsKreigęwćsołgeldopeinoiklawodańatswopycsyzzswu– tseirtzynadkanzanewotogoktsyzsw".

Bankier spojrział na jego pracę i nagle zawołał:

– Czekaj no, czekaj, co to jest?

Podniósł kartkę do światła lampy i odwróciwszy ją lewą stroną przeczytał półgłosem:

"Wszystko gotowe na znak dany z Triestu wszyscy powstaną do walki o niepodległość Węgier Ksrzah".

– A co, jednak mamy ich w ręku. Ten Ksrzah, to jakiś pseudonim, ale to mniejsza. Daj no mi pan tę kartkę – odezwał się Sarcany. – Idę zameldować o tym do tajnej policji.

– Proszę tylko, żeby moje nazwisko nie figurowało w denuncjacji. Ładnie by wyszedł mój kredyt, gdyby się ludzie dowiedzieli, że wtrącam się w przekonania polityczne moich klientów.

– Bądź pan spokojny. Nagrodę w policji odbiorę sam. Proszę tylko, żeby połowa przypadająca mi z sumy Sandorfa była za tydzień do mojej dyspozycji.

Drzwi się za nim zamknęły. A Silas Toronthal rozparł się wygodnie w fotelu i zaciągnął wonnym dymem cygara.

W dwie godziny później kapitan żandarmerii na czele 6 uzbrojonych żołnierzy dzwonił do cichej willi hrabiego Zathmara. Podobny oddział wkroczył do pokoju hotelowego, w którym spał hrabia Sandorf, a trzeci aresztował profesora Bathary'ego, wrywając go przemocą z objęć szlochającej żony i małego synka.

W niespełną godzinę, więzienna karetka, otoczona przez silnie uzbrojony oddział żandarmów, uniosła trzech aresztowanych spiskowców za bramy miejskie, kierując się do twierdzy leżącej na szczycie skały, niedaleko granicy włoskiej.

Podczas całej podróży, trwającej do świtu, przyjaciele nie mogli przemówić do siebie ani jednego słowa. Dwóch żandarmów stało na stopniach karety i nie spuszczało oczu z uwięzionych. W godzinę po przybyciu do twierdzy, stawieni byli przed sąd wojenny. Przedstawiono im kartkę i szachownicę, oczywiste dowody winy.

Początkowo hrabia Sandorf chciał całą winę wziąć na siebie i ocalić towarzyszy, ale obaj zaprotestowali gorąco. Szczycili się tym, że pracowali dla ojczyzny i mieli w jej imieniu zginąć. Bo wyrok sądu wojennego, przed którym stali, był łatwy do przewidzenia. Za zdradę stanu groziła im natychmiastowa kara śmierci. Wysłuchali spokojnie długiego i zawiłego aktu, który prędkim i monotonnym głosem odczytał im przewodniczący. Po upływie czterdziestu ośmiu godzin mieli być rozstrzelani w obrębie twierdzy. Ostatnie dwa dni wolno im było spędzić we wspólnej celi.

Hrabia Sandorf poprosił jeszcze o pozwolenie zabrania głosu i w gorących słowach prosił sędziów, żeby Borik i Sarcany nie byli pociągnięci do odpowiedzialności. Chodziło mu szczególnie o Sarcany'ego, któremu nie chciał za jego parotygodniową pracę odpłacić wciągnięciem do procesu, który mógł go skompromitować i utrudnić znalezienie zajęcia. Ręczył słowem honoru, że młody sekretarz nie należał do spisku. Sędziowie przyjęli jego oświadczenie w milczeniu, po czym

więźniów odprowadzono do narożnej baszty, w której mieli spędzić ostatnie chwile. Dozorca, patrząc na nich ze współczuciem, przyniósł na prośbę profesora papier i przybory piśmienne i wyszedł z celi. Zostali sami. Profesor zaczął pisać list do żony. Zathmar do starego Borika, a Sandorf chodził zamyślony po celi. Nie miał do kogo pisać. Jego Ilonka była zbyt mała, żeby wiedzieć, co się z jej ojcem dzieje, a wszystkie sprawy i korespondencje załatwił przed przyjazdem do Triestu. Chodził po celi, pogrążony w zadumie. Sprawa wyzwolenia jego ukochanej ojczyzny znowu usuwała się na dalszy plan. Kto wie, kto teraz będzie miał odwagę rzucić hasło powstania. Całe szczęście, że inni spiskowcy nie zostali ujawnieni. Hrabia zbyt był ostrożny, żeby narazić sprzymierzeńców. I tak dwa życia niepotrzebnie zgasną. Ale kto mógł przewidzieć, że tajemnica szyfru zostanie zdradzona. Tylko oni trzej ją znali. Sandorf zatrzymał się przy oknie i spojrzał w dół. Przed jego oczami otwierała się niezgłębiona przepaść.

Zamek Pisino, który został później przerobiony na twierdzę, był zbudowany na stromym cyplu skalnym, wiszącym nad szumiącym wartkim potokiem Foriba.

Nagle do uszu hrabiego dobiegły urywki rozmowy.

Rozejrzał się uważnie. Głosy dobiegały z okna, które było umieszczone o parę łokci niżej, w gładkiej ścianie twierdzy.

– Skoro ci mówię, że po egzekucji będziesz wolny, to możesz mi zaufać.

– Jeżelibyś chciał dać drapaka to cię znajdę nawet pod ziemią – odparł drugi głos, który wydał się znajomy.

– Nie mam zamiaru uciekać. A swoją sumę odbierzesz za dwa dni. Konfiskacie ulegną tylko majątki ziemskie i zamek.

– Pamiętaj, że ja się nie pozwolę oszukać.

– No, któż by tam potrafił oszukać pana Sarcany'ego.

– Ja tylko zapowiadam, że gdybyś pan próbował, to chociaż jesteś bogatym panem Toronthalem, potrafię odebrać swoje.

Głosy ucichły, zamknęły się jakieś drzwi, a hrabia Sandorf stał jak skamieniały.

A więc to oni! Ta para łotrów spod ciemnej gwiazdy. Dzięki ich machinacjom Węgry pozostaną nadal w niewoli. Dzięki nim ginie Zathmar i Bathary. O sobie hrabia nie myślał. Wiedział tylko, że nie umrze, zanim nie wymierzy sprawiedliwości.

Twierdza Pisino, w której uwięziono trzech spiskowców, była dawnym zamkiem obronnym, uczepionym na stromym cyplu skalnym. Wydawało się, że ściany wyrastały bezpośrednio z kamiennego podłoża. Warowne mury otaczały ją z trzech stron. Z czwartej otwierała się bezdenna przepaść, na której dnie toczyła wartkie fale Foriba.

Dziwy sobie o tej rzece opowiadali ludzie. Podobno żadna łódź nie mogła na niej płynąć. W mgnieniu oka rozbijały się bądź o skaliste poszarpane brzegi, bądź o podwodne skały. Okrągły rok z rykiem i szumem przelewały się spienione wody, zasilane śniegami z sąsiednich gór. A co najdziwniejsze, że w pewnym miejscu Foriba znikła z powierzchni ziemi. Wpadała w jakąś szczelinę skalną i ślad po niej ginął. Nic więc dziwnego, że władze więzienne nie uważały za potrzebne ustawianie straży z tej strony fortecy, skoro sama przyroda dostatecznie ją strzegła.

Hrabia Sandorf stał przy oknie celi i rozważał słowa, które go doleciały z sąsiedniego okna. Należało działać nie tracąc czasu. Porozumiał się z towarzyszami i uzyskawszy ich zgodę, zabrał się do pracy. Trzeba było usunąć kraty w oknie. Na szczęście nie tkwiły zbyt mocno w starym murze i, przy zjednoczonych wysiłkach, dały się usunąć. Zbliżająca się burza i coraz częstsze i głośniejsze grzmoty głużyły szamotanie się ludzi z żelaznymi prętami i szelest osypujących się kamieni i kawałków tynku. Sandorf wychylił się daleko za okno, chcąc się rozejrzeć w jaki sposób i w którym kierunku należało uciekać. Niestety, ciemności nie pozwalały nic dojrzeć, a huk piorunów i szum deszczu zlewał się z rykiem Foriby. Nagle przy świetle błyskawicy dojrzał żelazny pręt przytwierdzony do ściany. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był to pręt od piorunochronu. Był umocowany żelaznymi kłami, ale dokąd prowadził, czy się gdziekolwiek nie zerwał, któż mógł odgadnąć. W każdym razie trzech przyjaciół nie mieli czasu i ochoty na namysł. Lada chwila mógł przyjść dozorca i ostatnia sposobność ratunku byłaby im odjęta.

– Ja wyjdę pierwszy – odezwał się hrabia Sandorf do towarzyszy. – Gdybym spadł, będziecie wiedzieli, że droga jest niebezpieczna i nie będziecie się na próżno narażali. W przeciwnym razie, niech Bathary wyjdzie po upływie dziesięciu minut, a Zathmar w dziesięć minut po profesorze. Uważajcie tylko, żeby się mocno trzymać pręta. Mam wraże– i nie, że jest dobrze umocowany, ale nie wiem, czy wam siły dopiszą.

– Mój drogi – odparł Zathmar – czy nas śmierć spotka o dwadzieścia godzin później czy wcześniej, to już wszystko jedno. A nigdy byśmy sobie nie darowali, że nie spróbowaliśmy szczęścia.

– No, to w imię Boże – szepnął Sandorf i wysunął się przez okno.

Uchwycił się mocno pręta i począł wolno zsuwać na dół, opierając się nogami o ściany. Nie była to jednak rzecz tak łatwa, jak się pozornie zdawać mogło. Silna wichura szarpała jego ubraniem, deszcz zalewał oczy, a pręt dygotał w dziwny sposób. Zdawało się, że mnóstwo ostrych szpileczek kłuło w ręce, a nogi raz po raz ześlizgiwały się po gładkiej powierzchni muru. Zmęczony, zlany potem, zatrzymał się hrabia na framudze jakiegoś okna i z bijącym sercem począł nasłuchiwać czy profesor zdołał już się wysunąć z okna. Jakoż niebawem drut począł silniej drgać, widocznie pod ciężarem

Bathary'ego, i na głowę Sandorfa poczęły się sypać okruchy muru. Po upływie kilku minut, męczących i nieskończenie długich, Bathary zawisł tuż nad głową Sandorfa. Hrabia począł się zsuwać na dół. Szum rzeki był coraz głośniejszy i obu zbiegów owionął chłód przepaści. Bathary spoglądał raz po raz w okno, które oświetlały błyskawice, ale hrabiego Zathmara nie było. Nagle z góry doleciał jego rozpaczliwy głos:

– Prędeż, prędeż, na miłość Boską, uciekajcie prędeż!

Po czym dały się słyszeć krzyki, strzały i grad kul przeleciał ze świstem nad Sandorfem i Batharym. Przyłgnęli obaj do ściany, gdy nagle piorun uderzył w piorunochron na dachu fortecy i iskry z sykiem przesunęły się błyskawicznie po drucie, za który uczepli byli obaj zbiegowie. Bathary krzyknął boleśnie, puścił pręt i spadł w przepaść. Sandorf, który dziwnym i szczęśliwym trafem nie dotykał w tej chwili drutu tylko stał, trzymając się wystającego kamienia w ścianie, skoczył na ratunek przyjacielowi. Spadł w wartkie fale Foriby, a ponieważ był znakomitym pływakiem, opanował wkrótce prąd wody i począł płynąć, szukając towarzysza.

Widocznie zimna woda otrzeźwiła profesora, bo odpowiedział na wołanie Sandorfa. Wkrótce hrabia zrównał się z Batharym. Nieszczęśliwy profesor miał opalone dłonie i nie mógł płynąć. Sandorf objął go lewą ręką, a prawą płynął, a raczej kierował tylko, bo prąd stawał się coraz szybszy i silniejszy. Ciemności nie pozwoliły dojrzeć brzegów, ale widocznie Foriba toczyła swe wody gdzieś w przepaść. Sandorf począł tracić siły, gdyż profesor ciążył mu na ramieniu. Nagle złapał się ręką za jakąś gałąź, podsunął bliżej i dostrzegł, że był to strzaskany pień drzewa, który woda niosła ze sobą. Hrabia, nie namyślając się długo, dźwignął towarzysza na pień, sam usiadł obok i pozwolił się unieść prądom. Mógł już odpocząć, a ponieważ zaczynało świtać, rozejrzał się wokoło. Rzeka płynęła w wąskiej szczelinie górskiej. Niebotyczne skały pozwalały dojrzeć tylko skrawki szarzejącego nieba. Nagle przed oczyma Sandorfa stanęła ściana skalna, jakby wyrosła z wody, a fale Foriby poczęły z szumem i rykiem wpadać w wąską szczelinę, która była o jakieś pół metra pod powierzchnią wody. Sandorf zdążył jeszcze położyć się błyskawicznym ruchem na pniu obok Bathary'ego, kiedy wpadli w tunel skalny. Ogarnęły ich nieprzebyte ciemności, woda poczęła się przelewać przez głowy. Sklepienie tunelu dotykało w wielu miejscach powierzchni wody. Sandorf trzymał się kurczowo pnia, rozumiejąc dobrze, że bez tej zaimprovizowanej łodzi nie dałby sobie rady w podziemiu. Musiał też podtrzymywać profesora, który dawał słabe oznaki życia. Nagle sklepienie jakby się odsunęło i kilkanaście metrów przed oczami Sandorfa błysnęło światło dzienne. Jeszcze chwila, a Foriba wyniosła rozbitków na otwartą przestrzeń. Wody jej poczęły płynąć leniwiej, jakby wypoczywały po trudach, i rzeka rozlała się szeroko pomiędzy łąkami. W dali błysnęło morze. Sandorf skierował belkę ku brzegowi i wkrótce mógł się wydostać na ląd. Wyciągnął towarzysza i ułożył go w cieniu krzaków. Sam upadł na piasek i zasnął kamiennym snem.



Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy Sandorf otworzył oczy. Obok niego siedział Bathary. Błady był i zmęczony, ale uśmiechał się do Sandorfa, który zerwał się na równe nogi.

– Ale zasnęłam, te nocne wzruszenia tak mnie sennie usposobiły – zawołał. – Jak się czujesz, profesorze?

– Mój przyjacielu, gdyby nie twoje poświęcenie i odwaga, już bym dawno nic nie czuł. Ale teraz mam nadzieję, że nie będę ci zawadą w naszej dalszej drodze i da Bóg, odpłacę za to, coś dla mnie zrobił.

– Zrobiłbyś to samo na moim miejscu, kochany profesorze, a teraz powiedz mi, jak dawno czuwasz nade mną i czyś nie dostrzegł czegoś podejrzanego?

– Nie. Ocknąłem się koło południa i, nie ruszając się z miejsca, rozglądałem się po okolicy. Zdaje mi się, że w pobliżu musi być jakaś osada rybacka, bo słyszę nawoływania ludzkie i widziałem łodzie wpływające z morza do rzeki.

– A ludzi nie widziałeś?

– Owszem, przeszedł koło nas jakiś człowiek, sądząc z ubrania, musiał to być robotnik. Obejrzał nas dosyć uważnie, ale ponieważ nie odezwał się do mnie, wnoszę, że musiał nas wziąć za włóczęgów i wolał nie zaczepiać. Co prawda nasze zmoczone ubranie nie wzbudza zaufania.

– W każdym razie lepiej jest zmienić miejsce pobytu – odparł Sandorf. – Gdyby się tylko można było dowiedzieć, w jakiej miejscowości jesteśmy.

Powstali z ziemi i skierowali się ku osadzie leżącej nad brzegiem morza. Szli ostrożnie, rozglądając się bacznie, ale drogi były puste. Zapukali do pierwszej z brzegu chaty. Otworzył im stary rybak i obrzucił badawczym spojrzeniem.

– Czy nie moglibyśmy przenocować u was mój dobry człowieku? – zapytał Sandorf.

Gospodarz odwrócił się do drzwi prowadzących do sąsiedniej izby, i zawołał:

– Mario, mamy gości, przynieś coś przygotowała na wieczerzę.

Do izby weszła młoda, nadzwyczajnej piękności dziewczyna i, spojrzawszy na przybyszów, zamieniła znaczące spojrzenie z ojcem.

Bez słowa wyszła do kuchenki i po chwili przyniosła zimne mięso, gotowaną rybę, chleb i dzbanek wina.

Podróżni nie dali się długo prosić. Zasiedli do stołu i w mgnieniu oka pochłonęli wszystko, co Maria przed nimi postawiła. Tymczasem gospodarz wyszedł z chaty i rozglądał się bacznie, czy kto nie nadchodzi. Po pewnym czasie wrócił do domu i rzekł:

– Mario, zaprowadź panów do izdebki od ogródka, ale nie zapalaj światła. Nie trzeba, żeby się tu ktoś ciekawy wcisnął.

– Co mówicie gospodarzu – zapytał Sandorf – czyżbyście wiedzieli, kto jesteśmy?

– Ach panie – uśmiechnął się rybak – nietrudno się domyśleć, że to was szukają tu od świtu. Na rynku i na wszystkich rogach ulic rozlepiono plakaty opisujące waszą ucieczkę z twierdzy. Naznaczono nawet nagrodę 5 tysięcy florenów dla tego, kto was odnajdzie, no i wieczyste ciężkie roboty dla tego, kto by wam pomógł, czy was ukrywał.

– Jak to i wy, wiedząc o tym, przyjęliście nas?

– Panie, kto pod mój dach wszedł, jest moim gościem. A dopóki żyję, mojemu gościowi włos z głowy spaść nie może. Spijcie spokojnie. Będziemy kolejno z Marią czuwali. A gdyby, broń Boże, coś wam miało zagrażać, uciekajcie przez okno. Zaraz za ogródkiem jest morze i moja łódź uwiązana u brzegu. Uciekajcie i niech was Bóg strzeże.

Sandorf i Bathary uścisnęli gorąco rękę szlachetnego Ferrata, tak się bowiem nazywał rybak, i udali się na spoczynek.

Ale widocznie nie było im sędzone spędzić noc spokojnie. Około północy zbudziła ich rozmowa, prowadzona przed domem. Rozpoznali głos Ferrata. Ktoś drugi krzyczał i groził Ferratowi.

– Gdy cię prosiłem o rękę Marii, to byłem za nędzny na zięcia. Zobaczymy teraz jak mnie będziesz jeszcze prosił, żebym się z nią ożenił.

– Radzę ci Carpena, żebyś się poszedł przespać. Jeżeli jesteś pijany, nie zaczepiaj spokojnych ludzi.

– Czy jestem pijany, czy nie, to się pokaże, a tymczasem wybieraj, albo dasz mi Marię za żonę, albo zawiadomię żandarmów, że ukrywasz zbiegłych kryminalistów, a wiesz czym to pachnie. Pójdiesz do więzienia, a ja zostanę panem i twojej chałupy, i twojej córki.

– Idź spać Carpena i przestań wykrzykiwać przed moim domem, bo to nie jest karczma.

– Tak? Ano zobaczymy!

W tej chwili rozległo się ostre gwizdnięcie. Widocznie Carpena dawał znać żandarmom, bo prawie jednocześnie rozległ się tętent koni i słychać było, jak kilkunastu jeźdźców otoczyło domek Ferrata.

Sandorf i Bathary zerwali się z posłania i wyskoczyli do ogrodu. Poczęli biec ku morzu, kiedy nagle za nimi rozległy się strzały i grad kul obsypał drzewa ogródka.

Odpowiedział im jęk profesora, któremu kula strzaskała ramię.

– Co ci Bathary? – skoczył ku niemu Sandorf. – Ranili cię? Oprzyj się na mnie, już widzę łódkę. Prędeż! Ale profesor osunął się na ziemię i wyszeptał:

– Nie, nie mogą biec. Zostaw mnie. Uciekaj! Na miłość Boską, uciekaj! Zrób to dla mnie. Ja postaram się zatrzymać ich przy sobie, a ty uciekaj. Żegnaj!

Sandorf rozejrzał się wokoło. Ze wszystkich stron biegli ku niemu żandarmi. Rzeczywiście nie miał ani chwili do stracenia. Jednym skokiem był przy łodzi, ale nie zdążył rozplatać łańcucha, którym była przywiązana. Kilku żandarmów skierowało się w jego stronę, ale Sandorf nie mógł pozwolić wziąć się żywcem. Nie namyślając się długo, skoczył do wody i począł płynąć. Rozległy się krzyki, strzały, paru żołnierzy wsiadło do łodzi, strzelając raz za razem za zbiegiem, ale wysokie fale poczęły podrzucać łodzią i przelewać się przez głowę uciekającego, który zginął żandarmom z oczu. Musieli więc powrócić z niczym, pocieszając się tylko myślą, że na pełnym morzu fale są jeszcze większe i jeden bezbronny człowiek im się nie oprze. Czekali przez dwa dni, aż woda wyrzuci zwłoki hrabiego Sandorfa, ale wiatr wiał stale ku morzu i zwłok nie znaleziono.

Profesora Bathary'ego odwieziono do fortecy Pisino i rozstrzelano razem z hrabią Zathmarem. Zwłoki ich pogrzebano w obrębie fortecy.

Rybak Ferrato, za pomoc okazaną zbiegom, skazany został na dożywotnie ciężkie roboty, Carpena zaś otrzymał 5 tysięcy florenów za denuncjację i pomoc w złapaniu przestępców. Nie

cieszył się jednak długo swoim tryumfem, gdyż Maria Ferrato nazajutrz po aresztowaniu ojca opuściła dom i schroniła się do pobliskiego klasztoru, a cała osada, nawet cała okolica na dziesiątki kilometrów wokoło, poczęła go nazywać "zdrajca Carpena". Ludzie odwracali się na jego widok i spluwali z obrzydzeniem i pogardą. Dzieci biegły za nim wołając "Judasz, Judasz". Nawet miejscowy szynkarz, którego Carpena uważał za przyjaciela i który mu często kredytował, wyrzucił go za drzwi i zabronił przychodzić, nie chcąc, żeby zdrajca wystraszał mu gości z sali. Carpena rozpił się z rozpacz i po paru tygodniach nie miał już ani grosza z otrzymanych 5 tysięcy i jak ostatni nędzarz musiał opuścić okolicę.

## CZEŚĆ II

### I

Piętnaście lat minęło od wyżej opisanych wypadków. Dnia 24 maja 1882 roku obchodzono w Raguzie odpust i doroczne święto. Mała portowa miejscina przybrała uroczysty wygląd. Tłumy ludzi wyległy za miasto, gdzie na dużej łące, tuż nad brzegiem morza stały szeregi kramów, a wędrowni

kupcy głośno zachwalali przywiezione towary. Opoдал ciągnęły się budy wędrownych teatrów, kuglarzy i sztukmistrzów. A każdy wołał, zachęcał, obiecywał niewidziane cuda, a wszystko razem miało kosztować tylko parę groszy, byle tylko widz dał się skusić i wszedł do wnętrza. Ale ludziom nie chciało się jeszcze wchodzić do ciemnych tajemniczych wejść namiotów i bud, wymalowanych jaskrawo w przeróżne arabeski, dzikie zwierzęta i jeszcze dziksze postacie ludzkie. Tłum przyglądał się wszystkiemu. Gwar i śmiech rozlegały się zewsząd. Nie zwracano też zbyt uwagi na mały czerwony namiot, przed którym stało dwóch ludzi, ubranych w jaskrawe trykoty, naszywane błyszczącymi cekinami, jakich zwykle używają jarmarczni linoskoczkowie. Jeden, rosły, wysoki, o byczym karku i olbrzymich mięśniach, o twarzy dziecięco łagodnej i dobrych oczach, patrzył spokojnie na mijających go ludzi i uśmiechał się dobrotliwie. Drugi, mały, szczupły, o ostrych, nerwowych rysach i żywych, biegających oczach, kręcił się niespokojnie i raz po raz wołał:

– Niebywale! Niesłychane! Jedyne w swoim rodzaju! Największy siłacz świata! Nowoczesny Herkules! Wejście pół korony. Dzieci płacą połowę. Nigdy nie pokonany! Stu śmiałków może się z nim zmierzyć, a wielki i silny Matifu nie da się położyć na łopatki.

Ale ludzie nie spieszyli stanąć do walki z niepokonanym Matifu, więc mały człowieczek, odpocząwszy chwilę, wołał znowu:

– Panie i panowie, niebywałe zjawisko! Żonglowanie żywym człowiekiem. Wejście tylko pół korony. Najzręczniejszy skoczek świata. Niezrównany Pescada! Jedyne w swoim repertuarze. Chodzi na rękach, nogach i głowie! Przedstawienie zaraz się rozpocznie.

Ale i to wołanie pozostało bez echa.

– Widzi mi się Matifu, że dziś znowu pójdziemy spać bez kolacji.

Łagodny olbrzym uśmiechnął się:

– Zdaje mi się, że tu robimy od dwóch tygodni. No i obiadu nie mieliśmy już dwa dni. Ja to wytrzymam, ale z ciebie, biedaku, to nic nie zostanie.

– Będzie ci lżej żonglować moją chudą osobą. Gorzej będzie, jeżeli ty stracisz siły, a potem byle chłopak wiejski cię pokona.

– Jak dotąd, nikt się nie kwapi do walki ze mną. Patrz jak się pusto zrobiło na placu. Dokądże ci ludzie poszli?

– Pewnie do portu. Słyszałem, że dziś mają spuszczać na wodę nową łódź żaglową. Ma to być coś bardzo dużego. Jakaś szkuna, czy coś w tym rodzaju.

– No, to chodźmy i my. Nic tu nie wystoiimy, a nasz pałac może się nie obawiać złodziei.

– Ano chodźmy.

Po chwili obaj przyjaciele stali nad brzegiem morza. Dziwna to była para. Poznali się przed kilku laty i odtąd pracowali razem. Kochali się jak bracia, znosząc bez szemrania ciężki los artystów

jarmarcznych, wędrując od miasta do miasta wzdłuż brzegów Morza Śródziemnego. Obaj pochodzili z południowej Francji i obaj marzyli, żeby zebrać tyle pieniędzy, aby kiedyś powrócić do ojczyzny. Ale tymczasem o pieniądze było coraz trudniej, a do ojczyzny coraz dalej.

– Patrz Matifu. widzisz ten statek? Podejdźmy bliżej. Za parę minut zdejmą mu łańcuchy i skoczą sobie do morza.

– A może popłynie do naszej słonecznej Francji – westchnął Matifu. – Chodźmy bliżej.

Po chwili stali tuż przy statku. Była to duża łódź rybacka. Kręciło się koło niej kilkunastu robotników, zdejmując liny i łańcuchy, którymi była umocowana do żelaznej belki, wbitej w przystani. Tłum ciekawych cisnął się ze wszystkich stron, chcąc zobaczyć chwilę, kiedy zdejmą ostatni łańcuch i świeżo ochrzczona "Stella" zakołysze się na fali.

Już jeden z robotników zaczął odwijać łańcuch, już tysiące ciekawych oczu śledziło jego ruchy, gdy nagle rozległy się ogłuszające sygnały straży portowej, dzwonienie i ryk syreny. Ludzie spojrzeli przerażeni na morze. Jakiś maty statek wpływał pełną parą do portu, kierując się wprost ku "Stelli".

Robotnicy zrozumieli, że należało za wszelką cenę zatrzymać jeszcze kilka chwil "Stellę" na brzegu, gdyż w przeciwnym razie oba statki wpadną na siebie. Poczuli się tłoczyć do łańcucha, krzycząc, ale niestety było już za późno. Ciężar łodzi pociągnął ich ze sobą. Łańcuch wymykał im się z rąk i już, już "Stella" miała wpaść do morza, kiedy Matifu jednym skokiem znalazł się przy łańcuchu. Złapał go oboma rękami, okręcił kilkakrotnie wkoło żelaznej belki, z której się łańcuch zsunął, i wparł się z całej siły nogami w ziemię. Łańcuch naprężył się. Drgnęła olbrzymia łódź, ale nie ruszyła z miejsca. Ludzie zamarli w niemym podziwieniu i przerażeniu. Olbrzymowi żyły wystąpiły na czoło i twarz pokryła się potem. Ale nie ruszył się z miejsca. Dopiero po upływie kilku minut, kiedy jacht przybił do brzegu, olbrzym puścił łańcuch, który z brzękiem potoczył się po kamieniach. „Stella” drgnęła i posunęła się naprzód. Po chwili kołysała się na spienionych falach zatoki.

W tej chwili okrzyk wydarł się z kilkuset piersi: Niech żyje! Niech żyje! A to siłacz! A to bohater!

Ciekawi cisnęli się do Matifu, który rozglądał się zdziwiony, za co spotyka go taki zaszczyt. Uśmiechał się, wycierając skrwawioną rękę, i powtarzał:

– Ale cóż się stało nadzwyczajnego? Przecież to drobiazg. A szkoda by było tak ślicznego jachtu.

Ale tłum był widocznie innego zdania, bo okrzykom i wiwatom nie było końca. Nagle do zawstydzonego Matifu zbliżył się wysoki, siwy mężczyzna w ubraniu kapitana statku.

– Muszę panu serdecznie podziękować za ocalenie mnie i mojej załogi od poważnej katastrofy – rzekł, podając zmieszanemu olbrzymowi rękę. – Dzięki pańskiej odwadze i poświęceniu, no i sile, uniknęliśmy pewnej śmierci. Jestem właścicielem jachtu, który niespodziewanie wjechał do portu. Czym mógłbym się panu odwdziaczyć?

– Doprawdy nie wiem, co tak wielkiego zrobiłem – bąknął zawstydzony Matifu. – Naprawdę nie warto o tym mówić.

– Panie kapitanie – wtrącił się nagle Pescada, który stał dotąd przy swoim przyjacielu i aż pobladł z wrażenia na widok bohaterskiego czynu swego towarzysza – Matifu, gdyby umiał mówić lepiej, powiedziałby, że wystarczy mu fakt, że mu pan sam dziękuje. To bardzo porządny chłop ten mój przyjaciel, ale przyznam się, że dziś nawet mnie wprowadził w zdumienie. Nawet nie myślałem, że jest tak silny. Już mu nigdy nie będę dokuczał, bo gotów mnie trącić piątym palcem i już będzie po mnie.

Kapitan uśmiechnął się na ten potok wymowy małego człowieczka i odparł:

– Bardzo mi będzie przyjemnie, jeżeli obaj panowie zechcą jutro przybyć na pokład mojej "Sawareny". Zjemy razem śniadanie i pogadamy. Mam wrażenie, że omówimy kilka spraw bardzo ważnych dla nas trzech. A tymczasem żegnam panów i proszę, nie zapomnijcie, że łódka będzie na panów czekała o godzinie dwunastej w południe.

Podał obu przyjaciółom rękę i miał się wycofać z tłumu, który otaczał ich zwartym pierścieniem, kiedy wzrok jego padł na starego, otyłego pana, stojącego opodal w towarzystwie młodej, ślicznej panny. Oczy kapitana wpiły się na jedną chwilę w tłustą, czerwoną twarz i nieznacznym, ale wyraźnym grymas pogardy wykrzywił jego usta. Po chwili zniknął w tłumie.

Młoda panna nachyliła się tymczasem do swojego towarzysza i szepnęła:

– Ojczy, czy nie można by wynagrodzić tych ludzi?

Wyglądają tak biednie!

– Moje dziecko – odparł zagadnięty – nie należy dawać pieniędzy włóczęgom. Każdy człowiek powinien uczciwie pracować. Chodźmy już do domu. Gorąco tu, a matka czeka na nas ze śniadaniem.

Panienka westchnęła i bez słowa podążyła za ojcem. Skinęła tylko na pożegnanie główką w stronę obu przyjaciół, za co otrzymała serdeczny uśmiech od Matifu i szarmancki ukłon od Pescady.

## II

Nazajutrz o wpół do dwunastej obaj przyjaciele byli w porcie. Szczęściło im się od wczoraj. Rozentuzjasmowany tłum podążył do namiotu Matifu i Pescady i obaj przyjaciele sześć

razy z kolei musieli powtarzać widowiska. Rozumie się, że ani jeden śmiałek nie stanął do walki z siłaczem i sztuki ograniczyły się do dźwigania ciężarów, łamania podków i żonglowania Pescadą, który nie skakał, ale fruwał w powietrzu, fikając nadprogramowo kozły i śmiejąc publiczność swymi dowcipami. A dziś?... Dziś są zaproszeni na śniadanie do jakiegoś kapitana, który jest

jednocześnie właścicielem ślicznego jachtu. Już się zbliża łódeczka, w której siedzą dwaj wioślarze. To po nich. Po nich, biednych, jarmarcznych skoczków.

Dziwne są zaiste drogi, którymi kroczy przeznaczenie!

Tymczasem łódka przybiła do brzegu i nasi przyjaciele wsiedli do niej. Ponieważ twarze wioślarzy były wesołe i wzbudzające zaufanie, Pescadą odważył się na pytanie:

– Czy nie moglibyśmy się od panów dowiedzieć, jak się nazywa kapitan statku, do którego jedziemy?

– Nasz pan nazywa się doktor Antekirt.

– A jakiej jest narodowości?

– Tego nikt nie wie.

– A skąd pochodzi, gdzie się urodził, gdzie mieszka?

– Tego również nikt nie wie. Mieszkamy zawsze na statku. Nawet kiedy zawijamy do portu. W tej chwili "Sawarena" stoi o półtora kilometra od brzegu.

– A nie przykrzy się panom takie życie? Obaj marynarze roześmieli się na głos.

– To tylko szczerom lądowym może się zdawać, że na morzu człowiekowi się przykrzy.

– "Sawarena" to najładniejszy statek na świecie, a nasz kapitan jest najdzielniejszy i najlepszy spośród wszystkich kapitanów na morzu.

W kilka chwil później Matifu i Pescadą mogli się przekonać naocznie, że zachwyty wioślarzy nad "Sawarena", nie były przesadzone. Był to śliczny, mocny jacht, zbudowany według ostatnich wymagań techniki i komfortu. Błyszczący, elegancki,

wyświeżony, a jednocześnie znać było, że ostoi się niejednej nawałnicy, a w szybkości prześcignie niejednego współzawodnika. Mały chłopak okrętowy wybiegł na spotkanie gości i zaprowadził ich do kajuty kapitana. Doktor przywitał ich serdecznie i raz jeszcze podziękował Matifu za ocalenie statku od niechybnej katastrofy. Po czym usiedli do śniadania.

Obaj przyjaciele byli tak onieśmieleni, że nie wiedzieli, jak się mają zachować. Tym bardziej, że Matifu obawiał się o całość kryształów i szklanek z cienkiego szkła, których musiał dotykać, a Pescadą miał wielką ochotę do gadania, ale nie śmiał, rozumiejąc dobrze, że on, mały Pescadą, dostał się tu tylko dzięki swemu dużemu przyjacielowi. Ale po pół godzinie przekonali się, że z kapitanem można było mówić bez obawy. Jego uprzejmość, łatwość w obcowaniu i wielka dobroć wyglądająca z ciemnych, smutnych oczu rozwiązała języki obu przyjaciół. W niespełną godzinę dowiedział się doktor Antekirt dokładnie wszystkiego, co tyczyło ich życia, przygód, ciężkich czasów, i posłyszał najskrytsze marzenie, które wyrwało się Matifu:

– Ach, żeby móc wrócić do ojczyzny.

- A więc panów nic nie łączy z Raguzą i moglibyście wyjechać?
- Rozumie się. Wędrujemy z miasta do miasta, a ponieważ teraz czasy są ciężkie, zapędziliśmy się tak daleko w nadziei zysku. Nie możemy wracać do Francji bez pieniędzy, bo z czego byśmy tam żyli. A tymczasem trudno jest coś odłożyć na czarną godzinę.
- A dlaczegoż nie weźmiecie się do innego zawodu?
- Ba, kiedy nic innego nie umiemy. A zresztą, któż by przyjął do pracy takich włóczęgów jak my? Nie mamy ani domu, ani przyjaciół, którzy by za nas zaręczyli. A przy tym nie moglibyśmy być zawsze razem. Bo, jak pan kapitan widzi, struktura nasza jest tak odmienna, że nie moglibyśmy pracować razem ani na przykład w kuźni, jakby to ślicznie robił Matifu, ani jako kominiarze, co mnie nie przyszłoby przecież z trudnością.
- A czy nie zgodzilibyście się pracować u mnie? Potrzebuję uczciwych i rozumnych ludzi, przy tym silnych i zręcznych.
- Jak to, pan by chciał? Przecież pan nas nie zna?
- Moi drodzy, czasem człowiek ma więcej wypisane w oczach i na czole, niż w najlepszej legitymacji. O ile więc zgadzacie się, otrzymacie mieszkanie, ubranie i jedzenie na statku. Pensję taką, jaką otrzymują moi ludzie, aktora wiem, że nie jest mała. A jak skończę tu swoje sprawy, wypłyniemy na pełne morze i najdalej za kilka miesięcy wylądujecie we Francji. Na pożegnanie otrzyma każdy z was sumę równającą się rocznej pensji mojego marynarza. Sądzę, że to wystarczy na kupienie małej osady, albo sklepu w małym miasteczku. No cóż, zgadzacie się?
- Czy się zgadzamy! Ależ panie kapitanie – zawołał Pescada – żebym tylko śmiał, fiknąłbym tu zaraz dwadzieścia kozłów z radości. Rozumie się, że się zgadzamy. ... No, odezwijże się Matifu... Z nim to tak zawsze, panie kapitanie. Cieszy się milcząco. Martwi się też milcząco. Może za to tak go kocham, że mi nie przeszkadza gadać.
- Kiedy mamy się stawić do służby i co pan każe nam robić?
- Możecie zacząć chociażby dziś wieczorem. Czy macie coś do załatwienia na lądzie?
- Musielibyśmy tylko zwinąć nasz teatr. Niewiele to nam zajmie czasu, a kostiomy pozwoli nam pan może zabrać ze sobą. W wolnych chwilach moglibyśmy uczyć załogę gimnastyki i walki francuskiej.
- A więc dobrze – uśmiechnął się doktor, żegnając swoich gości. – Czekamy was dziś wieczorem. A od jutra rozpoczniemy pracę. Mam nadzieję, że dobrze nam będzie ze sobą. 38



Następnego dnia Pescada miał długą rozmowę z kapitanem, po czym przebrany w elegancki cywilny garnitur, odpłynął łódką do brzegu. Co parę dni zjawiał się na statku i serdecznie witał Matifu, ale wiadomo było, że mieszka w Raguzie. Co tam robił, tego nie wiedział nawet jego duży przyjaciel.

Natomiast w kilka dni po wyżej opisanych wypadkach doktor Antekirt wysiadł w przystani i rozglądał się, jakby kogoś szukał. Po czym zbliżył się szybko do siwego, zgarbionego staruszka i rzekł:

– Oczekujecie na lekarza. Jestem doktorem Antekirtem.

Chodźmy do waszej pani.

Zdumienie odbiło się na twarzy starego sługi.

– Skądże na miłość boską, domyślił się pan, że to mnie przysłano po pana?

Doktor uśmiechnął się.

– Nie przyszło mi to z trudnością. Ale chodźmy do waszej pani, bo spieszno mi bardzo.

Stary sługa poszedł przodem i po kilkunastu minutach wprowadził doktora do małego, skromnego domku przy ulicy Marinella.

Na spotkanie gościa wyszła wysoka, siwowłosa kobieta,

ubrana w ciężką żałobę.

– Wszak mam przyjemność mówić z doktorem Antekirtem? Jestem wdową po Stefanie Batharym. Przepraszam bardzo, że pozwoliłam sobie prosić pana do siebie, ale dowiedziałam się wczoraj, że statek pana przybił do portu. Pierwszą moją myślą było udać się na pokład "Sawareny", ale obawiałam się, że to by zwróciło uwagę ludzką. W tak małym mieście jak Ragusa, nic nie uchodzi oczu ludzkich, a pragnęłam, żeby nasza rozmowa nie miała świadków.

– Niech mi pani wierzy – odparł doktor – że nawet nie czekając wezwania pani, uważałbym za obowiązek odwiedzenie wdowy po tak wybitnym człowieku, jakim był profesor Bathary.

– Czy pan znał mojego męża?

– Miałem zaszczyt być jego przyjacielem.

– Zna pan zapewne szczegóły jego śmierci?

– Owszem. Wiem, że należał do spisku i zginął jak bohater w walce o niepodległość swojej

ojczyzny. Wiem, że był rozstrzelany razem z hrabią Zathmarem. Trzeci organizator spisku, hrabia Sandorf, skonał w falach Adriatyku.

– Widzę, doktorze, że znasz te smutne szczegóły równie dobrze, jak ja. Więc może wiesz, kto zdradził tych szlachetnych ludzi?

– Niech mi pani wierzy, że sprawiedliwości stanie się zadość i winni będą ukarani. Tym zbrodniarzom Bóg nie przebaczy. Należy więc czekać, aż wybije ich godzina.

Zaległo ciężkie milczenie. Po zbolącej twarzy profesorowej stoczyło się kilka dużych łez. Ale opanowała się nadzwyczajnym wysiłkiem woli i podniosła oczy na gościa.

– Mam wielką prośbę do pana, panie doktorze. Nie chciałabym zrobić panu przykrości, ale proszę o zabranie tych pieniędzy, które był mi pan łaskaw przysłać kilka lat temu.

Doktor zerwał się z fotela.

– Jak to, pani te pieniądze ma w domu? Przysłałem je na wychowanie i wykształcenie pani syna. Byłem tak serdecznym przyjacielem profesora, że uważałem za swój obowiązek pamiętać o jego dziecku.

– Zapomniał pan – uśmiechnęła się wdowa – że dziecko to miało matkę, która była młoda i mogła na nie pracować. Jałmużna ofiarowana nawet w tak delikatnej i serdecznej formie, nie przestaje być jałmużną. A nie chciałam, żeby mój Piotruś miał oprócz mnie coś komuś do zawdzięczenia.

– Jakże dała pani sobie radę? – zawołał doktor. – Wiem, że pani syn skończył studia politechniczne. Przecież po śmierci męża została pani bez środków do życia.

– Byłam młoda, zdrowa. Mogłam pracować. Dużą pomocą był mi stary Borik, który po śmierci hrabiego Zathmara zamieszkał u nas. Traktujemy staruszką jak przyjaciela.

– Czy pani syn może już zarabiać na siebie?

– Owszem. Miał kilka propozycji, ale nie chce wyjechać z Raguzy, a tu na miejscu nic jeszcze odpowiedniego mu się nie trafiło. Obecnie wyjechał do Triestu, gdzie mu proponowano objęcie kierownictwa w jakiejś fabryce. Powróci jutro.

– Czy nie mógłbym prosić, żeby pani syn odwiedził mnie pojutrze na pokładzie mojego statku?

– Owszem, będzie u pana. A tymczasem raz jeszcze serdecznie dziękujemy panu za jego dobroć i proszę o zabranie tego tysiąca florenów, które już tyle lat czekają na właściciela.

Nie pomogły prośby ani perswazje. Doktor musiał zabrać z powrotem pieniądze, które przed kilku laty przysłał wdowie. Nazajutrz czytelnicy miejscowego pisma znaleźli w dziale ofiar skromną notatkę: "Bezimiennie na najbiedniejszych złożono w naszej redakcji tysiąc florenów".

W parę dni później Piotr Bathary wchodził na statku "Sawarena" do gabinetu doktora Antekirta. Ciemne zasłony na lampach rzucały cień na cały pokój i młody inżynier widział niewyraźnie wysoką postać gospodarza, który powstał na powitanie gościa.

Uderzył go tylko lekko drżący głos, jakby stłumiony wzruszeniem:

– Witam pana, panie Bathary, jest pan tak podobny do ojca, że trudno by się było omylić. Byłem wielkim przyjacielem profesora.

Młody człowiek uściśnął serdecznie wyciągniętą rękę.

– Wiem od mojej matki, że pana i ojca mego łączyła wielka przyjaźń. Cieszę się niezmiernie, że okoliczności pozwoliły mi osobiście podziękować panu za jego życzliwość dla nas.

– Pozwoli pan, że powołując się na zażyłość, jaka mnie łączyła z pana ojcem, nie będę się bawił w ceremonie i od razu przystąpię do rzeczy. Mówiła mi matka pana, że jeździł pan do Triestu. Cóż, czy to oznacza, że obejmie pan tam proponowaną posadę?

– Nie. Nie mogę się zdecydować. Musielibyśmy sprzedać nasz domek w Raguzie i wynieść się stąd zupełnie.

– Czy pana matka nie chce wyjeżdżać z Raguzy?

– O, moja matka pojechałaby ze mną na koniec świata.

– A więc to pan nie chce opuścić tego miasta. Czy wolno zapytać dlaczego?

Młody człowiek zmieszał się.

– Mam nadzieję, że z czasem otrzymam jakąś posadę w Raguzie, ale na razie nie mogę w żaden sposób wyjechać.

– Ale dlaczego?

– Proszę pana, dotąd nikomu o tym nie mówiłem i naprawdę pan będzie pierwszą osobą, którą wtajemniczam w swoje prywatne sprawy. Nawet moja matka nic o tym nie wie. Nie mogę wyjechać z Raguzy, nie rozmówiwszy się z osobą, którą kocham. Muszę mieć pewność, że będzie na mnie czekała, aż otrzymam posadę, która mi pozwoli stanąć wobec jej rodziny w roli poważnego konkurenta.

– Czy to ktoś bardzo zamożny?

– Bardzo. To jest córka jednego z bogatszych ludzi w Raguzie. Nigdy bym nie pomyślał o możliwości poślubienia jej. gdyby nie pewność, że mi sprzyja.

– Oho! – uśmiechnął się doktor. – Widzę młodzieńcze, że już poczyniłeś pewne kroki. Każdy z nas był młodym. Dam ci tylko radę. Nie zrażaj się drobnymi przeciwnościami. Jestem pewien, że twój ideał zasługuje w zupełności na twoje uczucia. Miej tylko cierpliwość, a dopniesz swego.

– O dziękuję panu za słowa otuchy – zawołał Piotr. – Dziękuję serdecznie. Jest pan jedynym człowiekiem, z którym szczerze mówię o swoich nadziejach. A Bóg mi świadkiem, że ogarnia mnie często zwątpienie. Nie wiem, czy rodzice jej zgodzą się na nasz związek i czy pozwolą jej czekać na mnie tak długo.

– Czy bywasz pan w tym domu?

– Nie, ale widuję tę panienkę co niedzielę w kościele. Wiem na pewno, że mi sprzyja. Ale rozumiem pan, że wyjechać z Raguzy nie mogę. Nie będę miał ani jednej chwili spokojnej. Przy czym nie widzieć jej, to ponad moje siły.

– No, pomyślimy jeszcze o tym. Nie wyjadę tak prędko z Raguzy i postaram się jeszcze raz odwiedzić pana matkę. Tymczasem żegnaj cię młodzieńcze i proszę, bądź dobrej myśli.

– Żegnaj pana – skłonił się młody inżynier, ściskając serdecznie rękę doktora.

– Ale, ale, czy nie mógłbym się dowiedzieć imienia pańskiego ideału? Może uda mi się coś zrobić dla pana.

– Jest to panna Sawa Toronthal. Mieszka w dużym pałacu niedaleko naszego domku.

– Jak to! – krzyknął doktor, a głos jego zabrzmiał dziwnie tragicznie. – Pan kocha pannę Toronthal?

– Tak, cóż w tym dziwnego? Jest to osoba nadzwyczajnej urody, a przy tym nad wyraz dobra i szlachetna.

Ale doktor nie znalazł słów na odpowiedź. Usiadł ciężko w fotelu i głosem jeszcze przytłumionym, ale już spokojnym powiedział:

– Nic, nic. Coś mi się przypomniało. Bądź zdrow młodzieńcze. Zobaczymy się niedługo.

Kiedy za gościem zamknęły się drzwi, doktor ścisnął skronie obu rękami i wyszeptał:

– Biedne, biedne dzieci. I jak mu tu powiedzieć, że kocha córkę mordercy swego ojca. Ale do tak

potwornego małżeństwa nie mogę dopuścić. Może ta Sawa to najidealniejsze stworzenie na świecie, ale jej miejsce nie jest przy boku tego biednego chłopca. Trudno! Ranę serca można przeboleć. Jak go stąd zabiorę, powiem mu całą prawdę, a jestem pewien, że mnie zrozumie.

Chwile siedział jeszcze w milczeniu, po czym nacisnął elektryczny dzwonek. Na progu stanął Matifu.

– Będziesz mi potrzebny mój kolosie. Czy Pescada wrócił?

– Czeka od godziny.

– Powiedz załodze, że za kwadrans odpływamy. Czy są depesze z eskadry "Electric"?

– Oto one.

Doktor rozwinął papier i przeczytał:

"Łódź podwodna "Electric 2" czeka o pół godziny drogi od portu. Wszystko w porządku".

– Dobrze – odezwał się po chwili zastanowienia. – Przygotuj się na kilka dni życia na łądzie, mój stary. Pewno ci się sprzykrzyło to wieczne kołysanie statku?

– O, do tego przywykłem już panie kapitanie – uśmiechnął się olbrzym. – Tylko chciałbym już coś zrobić. Mięśnie mi tuszczem obrastają, a nic jeszcze dla pana nie mogłem zrobić.

– Przyjdzie i na to czas. Idź już i zawołaj mi Pescadę.

Rozmowa z małym linoskoczkiem nie trwała długo. W kilka chwil później pożegnał on znowu swego starego przyjaciela i małą łódeczką odpłynął do brzegu, a "Sawarena", wykonawszy zręczny półobrót, wypłynęła cicho z portu i znikła w mgle wieczornej, równie tajemniczo jak przybyła.

V

Piotr Bathary wysiadł z łódki, która go przywiozła do brzegu, i począł szybko iść ku domowi. Głowa mu pałała. Doktor swym serdecznym przyjęciem i kilku słowami zachęty otworzył przed biednym zakochanym młodzieńcem nowe horyzonty. A może naprawdę uda mu się uzyskać posadę w Raguzie. Może dojdzie do majątku i wtedy bez trwogi będzie mógł stanąć przed groźnym obliczem bogatego eksbankiera i poprosić o rękę jego córki. Wzajemności Sawy był pewien. Widywali się przecież każdej niedzieli w kościele i widział zawsze na ślicznej twarzyczce dziewczęcia ten radosny uśmiech, którym go witała, i smutne spojrzenie ciemnych oczu, kiedy wychodziła z kościoła.

Czy tu potrzeba dużo słów.

Wiedział, że piękniejszej i lepszej nie znajdzie. Przechodził właśnie koło pałacu Toronthala i jak zawsze podniósł oczy na ostatnie okno pierwszego piętra. Firanka uniosła się leciutko i śliczna główka przesłała mu uśmiech i spojrzenie. Uchylił kapelusza, firanka opadła i zjawisko znikło. Ale zakochanemu młodzieńcowi to wystarczyło. Szedł dalej wolno, pogrążony w radosnym zamyśleniu. Nic więc dziwnego, że nie zauważył starej Cyganki, żebraczki, która szła za nim od portu i pomimo siwych włosów i starości mogła nadażyć za jego szybkimi krokami. Przed pałacem zatrzymała się również i patrzyła równie bacznie w ostatnie okno pierwszego piętra. Po czym zawróciła wolno ku miastu i w kilka chwil później wchodziła do urzędu pocztowego. Zatrzymała się przed okienkiem, gdzie przyjmowano depesze, i spod ciemnej, brudnej chusty wyjęła kilka gotowych, napisanych depezech. Oglądała je uważnie i odczytywała z trudnością. Nareszcie wybrała jedną, na której było napisane "Wracaj natychmiast" i podała ją urzędnikowi.

Ten spojrzał na starą Cygankę uważnie, ale bez słowa wydał jej kwit i zgarnął pieniądze.

Tymczasem noc zapadła ciemna, bezksiężycowa i "Sawarena" poczęła zwalniać szybkość. Nagle stanęła i po chwili od jej kadłuba poczęła się oddalać wolno mała łódeczka, w której siedziało dwóch mężczyzn. Nietrudno się było domyślić, że był to doktor Antekirt i Matifu.

– Spójrz Matifu uważnie. "Electric 2" powinien być w pobliżu.

– Widzę niedaleko od nas dwa niebieskie światelka.

– To oni.

Tu doktor przyłożył do ust świstek i zagwizdał donośnie. Odpowiedziało mu ciche, dwukrotnie gwizdnięcie.

– Wszystko w porządku. Wracajmy stary do brzegu – rzekł do Matifu. – Tylko pamiętaj, nie wpływaj do portu, a kieruj łódkę do tej wioski na północ od miasta.

Matifu ujął wiosła w swe potężne dłonie i łódka pomknęła jak ptak. Cicho minęła port i skierowała się ku nadbrzeżnym skałom, o parę kilometrów na północ. Kierowana wprawną ręką, wpadła do cichej, ustronnej zatoki i przybiła do brzegu.

Doktor i Matifu wysiedli i skierowali się ku przedmieściu Raguzy.

Matifu obejrzał się za siebie.

– Żeby tylko tej łódki nikt nie zauważył – szepnął na wpół do siebie.

– Nie bój się. Ludzie z "Electricu" zabiorą ją za pół godziny.

Po dwudziestu minutach marszu obaj podróżni wchodziłi w wąskie, brudne uliczki przedmieścia Raguzy.

Zatrzymali się przed skromną oberżą i zajęli w niej dwa małe pokoje na piętrze.

– Trzeba się położyć spać Matifu. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Po chwili z izdebki, którą zajął olbrzym, rozległ się jego równy, spokojny oddech. Natomiast świeca przy łóżku doktora paliła się długo w nocy, on zaś siedział na krześle i nad czymś długo i poważnie rozmyślał.

Pomysł porwania i uwięzienia Piotra Bathary'ego z Raguzy był śmiały i jedyny, jeżeli chodziło o usunięcie młodego człowieka od związku, który przecież byłby dla niego katastrofą moralną, ale nasuwały się tysięczne trudności, które należało spokojnie rozważyć do najdrobniejszych szczegółów i pamiętać o każdym.

## VI

Bankier Silas Toronthal od lat czternastu mieszkał w Raguzie. Opowiadano sobie o nim, że miał kiedyś przed wojną dom bankowy w Trieście, że dorobiwszy się znacznego majątku, przyjechał na odpoczynek do cichej Raguzy, kupił sobie śliczny pałacyk, miał dużo służby i nie zajmował się ani polityką, ani sprawami finansowymi. Nikt się też nie domyślał z jakiego źródła pochodziły pieniądze szanowanego pana bankiera. Policja w Trieście nie uważała za potrzebne rozgłaszanie spraw tak tajnych, jak szczegóły spisku politycznego, o którym mało kto wiedział, a jeżeli nawet słyszał, nie uważał za bezpieczne głośno się nad nim zastanawiać. A sam bankier Toronthal, podzieliwszy się z Sarcany i Zironem pieniędzmi hrabiego Sandorfa, postanowił jak najprędzej rozstać się ze swymi współnikami i jak najrzadziej o nich myśleć. Przeniósł się z żoną i córką do Raguzy.

Pani Toronthal wiedziała o roli jaką odegrał jej mąż w sprawie odkrycia spisku. Ale pomimo szlachetności i prawego charakteru była tak przez męża zahukana i tak słabej woli,

że nie śmiała w niczym mu zaprotestować. Bała się go, jak ognia. Oddała się całą duszą wychowaniu małej Sawy. Kochały się bardzo i rozumiały, a że pani Toronthal była Węgierką i gorącą patriotką, nic więc dziwnego, że i Sawa czciła pamięć bohaterów, którzy zginęli za ojczyznę. Nie obce jej były nazwiska Sandorfa i Bathary'ego. Cicha a pełna szacunku i uwielbienia miłość młodego inżyniera Bathary'ego pozyskała łatwo jej przychylność. Oprócz uroku osobistego, był on opromieniony niedolą męczeństwa ojca. Młodzi ludzie spotykali się tylko na ulicy i w kościele. Ukłony i uśmiechy zamieniane z daleka były jedyną formą, w której wypowiadali swe uczucia. Ale na razie nic im więcej nie było potrzeba. Pewnego dnia pani Toronthal, zebrawszy się na odwagę, próbowała mówić z mężem o możliwości związku między Sawą i Piotrem. Spotkała się jednak z takim gwałtownym sprzeciwem ze strony męża, z taką wściekłością i groźbami, że cofnęła się przerażona.

Nie pomogły łzy i prośby Sawy. Obie kobiety dowiedziały się ku swemu największemu przerażeniu, że ręka Sawy jest już dawno obiecana i jej przyszły mąż przyjedzie niebawem do Raguzy.

Człowiekiem tym był Sarcany. Nazwisko to nic jej nie mówiło. Miała do niego uprzedzenie już choćby z tego powodu, że nie był Piotrem Batharym. Natomiast rozpacz pani Toronthal nie miała granic. Do wszystkich nieszczęść i upokorzeń przybywało jeszcze jedno. Ale bankier był nieubłagany. Podobno obiecał Sarcany'emu, że majątek Sawy będzie kiedyś jego własnością. Ze słów bankiera przebijało wyraźnie, że nie chęć dotrzymania danego słowa, ale strach przed Sarcany'ym zmusza go do spełnienia obietnicy. Jakoż w parę dni po wyżej opisanych wypadkach, Sarcany wysiadł w porcie Raguzy. Czekala nań stara, tajemnicza żebraczka i powitała radośnie.

– Najwyższy czas, żebyś tu już był – szepnęła mu w narzeczu arabskim.

– Otrzymałem twoją depezę, Namir. Dobrze się spisałaś. Czy zaszło coś nowego?

– Jak dotąd nic, ale ten młody za bardzo się kręci pod oknami. Widuję go codziennie.

– Niech się kręci. Nie będzie się ze mną mierzył.

– Tak, ale ona mu sprzyja. Wiem od służby, że rozmawiała już z ojcem.

– Ojciec nie zrobi nic bez mojej zgody. A jak mi się amory tego młokosa sprzykrzą, sprzątnę go prędzej niż komara lub muchę.

– Wiem, wiem synku – zaśmiała się stara. – Ale kazałeś mi pilnować, więc pilnowałam.

– Sądzę, że za jakieś dwa tygodnie będzie już wszystko gotowe i będziesz mogła odpocząć. Wrócisz sobie do Tunisu.

– Dość mam radości i wypoczynku, kiedy cię moje oczy oglądają. Strzeż się tylko, bo jestem pewna, że nas ktoś śledzi. Sarcany zaśmiał się szyderczo.

– Ten, który miał ochotę nas śledzić, dawno już ziemię gryzie. Ale nie bój się, jestem ostrożny. Jeszcze się taki nie urodził, kto by Sarcany'ego oszukał.

Rozmawiający zatrzymali się. Stara Namir nie mogła iść szybko pod górę. Przy czym od dłuższego czasu jakiś tragarz pocztowy szedł za nimi, dźwigając duży worek na plecach. Prawdopodobnie towarzyszył im już od wyjścia z portu, ale nie zwracali na niego uwagi, zajęci rozmową. Zresztą rozmawiali narzeczem, którego nikt w Raguzie nie znał. Robotnik minął ich wolno, po czym skręcił w boczną uliczkę i wszedł do bramy. Po kwadransie, kiedy Sarcany'ego i Namir nie było już na ulicy, wyszedł z bramy. Rozejrzał się uważnie i szybkim krokiem skierował ku przedmieściu. Gdyby mały Pescada go spotkał, zawołałby bez wątpienia:

– Matifu, co tu robisz? – Ale Pescady nie było i nikt nie zdradził nazwiska olbrzyma.



W dwa dni później miejscowe pisma zamieściły zawiadomienie o zaręczynach panny Sawy Toronthal z panem Sarcany. Spoza grubych murów pałacu niełatwo przenikały wiadomości, toteż nikt nie wiedział o rozpaczy i łzach żony i córki bankiera, kiedy im Silas zakomunikował, że Sarcany przyjechał i że za dwa tygodnie w miejscowym kościele odbędzie się jego ślub z Sawą.

Natomiast w Piotra Bathary'ego wieść ta uderzyła jak grom. Nie krył się już przed matką ze swą rozpaczą. Całe dni spędzał zamknięty w swoim pokoju albo snuł się po ulicach miasta, nie poznając znajomych i nie widząc nic koło siebie. Zapamiętał się w swym bólu, nie zwracając uwagi na matkę, która wylewała gorzkie łzy nad nieszczęściem swego jedynaka i całe dni spędzała na modlitwie, prosząc Boga o ratunek dla swego dziecka. Za dwa dni miał się odbyć ślub. Piotr od rana wyszedł na miasto i błąkał się po wybrzeżu.

O zmroku do cichego domku pani Bathary zadzwoniło kilku ludzi. Borik otworzył drzwi i okrzyk śmiertelnego przerażenia wydarł się z jego piersi. Ludzie ci otaczali nosze, na których leżało skrwawione ciało Piotra. Nagle drzwi od dalszych pokoi otworzyły się i stanęła w nich pani Bathary. Rzuciła się ze szlochaniem na ciało syna. Piotr otworzył oczy i wyszeptał:

– Matko przebacz!

Ułożono rannego na łóżku i Borik wybiegł po lekarza. Ale wezwany chirurg kręcił głową, mówił o przebitych płucach, o krwotoku wewnętrznym i nie robił żadnej nadziei utrzymania chorego przy życiu.

Rozpoczęły się ciężkie dni dla biednej wdowy. Z każdą godziną Piotr tracił siły. W gorączce wołał Sawę, zaklinał, by na niego czekała, szarpał kołdrę, chciał biec do pałacu bankiera, po czym opadał bezsilny na poduszki i leżał jak martwy. W kilka dni po wypadku, późnym wieczorem, drzwi od pokoju chorego uchyliły się i stanął w nich doktor Antekirt. Podszedł cicho do łóżka Piotra, nachylił się nad nim i dotknąwszy ręką rozpalonego czoła, szepnął:

– Uśnij Piotrze, uśnij. Dość cierpień zaznałeś. Uśnij! Czas jakiś wpatrywał się uważnie w twarz chorego, po czym bez słowa wyszedł z pokoju. Pani Bathary patrzyła szeroko otwartymi oczami na doktora, ale nie ruszyła się z miejsca. Może też wejście doktora snem jej się wydało, a może nie miała już sił, aby powstać na powitanie gościa. Spojrzała uważnie na twarz syna, która stawała się coraz bledsza. Zdawało się, że usypia, ale snem wiecznym. Oddech słabł, aż ustał zupełnie i głowa ciężko osunęła się na ziemię. Matka podniosła się z krzesła, nachyliła nad synem i domyśliwszy się strasznej prawdy, padła zemdlna na podłogę.

Wiadomość o samobójstwie zrozpaczonego młodzieńca obiegła szerokim kołem całe miasto. Wiedzieli i mówili o nim wszyscy. Tylko mury pałacu Toronthala nie przepuściły tych wiadomości do uszu Sawy i jej matki. W pałacu czyniono pospieszne przygotowania do ślubu bankierówny z

Sarcany. Ślub miał się odbyć za dwa dni. Następnie państwo młodzi mieli wyjechać za granicę. Służba szeptała sobie po kątach dziwy o panie Sawie i jej matce. Ale widocznie rozpacz ta nie miała żadnego wpływu na bieg wypadków, bo w dwa dni po śmierci Piotra Bathary'ego wspaniale zaprzężony powóz bankiera oczekiwał na pannę młodą, która w towarzystwie rodziców miała udać się do kościoła. Sawa w białej atlasowej sukni otoczona mgłą ślubnego welonu zajęła miejsce w karecie obok matki i ojca. Otwarto bramę i powóz wytoczył się na ulicę. Nagle woźnica ściągnął z całych sił szarpiące się konie i skręciwszy zaprząg, zatrzymał się przy chodniku. Środkiem ulicy przechodził pogrzeb. Sawa spojrzała obojętnie. Naraz źrenice jej rozszerzyły się przerażeniem. Wychyliła się z okna karety, chcąc się przekonać, czy ją wzrok nie myli. Za trumną postępowała pani Bathary w żałobie i zgarbiony, płaczący Borik. Sawa podniosła ręce do skroni i krzyknęła głucho. Pani Bathary odwróciła głowę i spojrzała na dziewczynę. Nagle twarz jej zmartwiała, oczy cisnęły błyskawice i wyciągając rękę w stronę Sawy, zawołała głośno:

– Za śmierć mojego syna bądź przeklęta!

Po czym, opierając się na ramieniu Borika, minęła powóz bankiera i podążyła za trumną.

Ale wyrazom jej odpowiedział jęk boleści, który wyrwał się z piersi młodej dziewczyny, i Sawa bez zmysłów opadła na poduszki karety.

Musiano wrócić do pałacu. Nieprzytomną dziewczynę położono na łóżku. Wezwano lekarzy, ale ci z trudem tylko zdołali przywrócić chorej przytomność. Jęczała i nie poznawała nikogo. Wieczorem przysła silna gorączka i wywiązało się zapalenie mózgu.

Sarcany, po długiej rozmowie z bankierem, postanowił czekać i zajmąwszy apartament w eleganckim hotelu, grał najpoprawniej rolę kochającego i zaniepokojonego narzeczonego. Przysyłał codziennie kwiaty i dowiadywał się o zdrowie chorej. Ale ani stan zdrowia Sawy nie pozwolił na określenie w przybliżeniu bodaj daty ślubu, ani ostrożny Sarcany nie mówił o tym z matką narzeczonej.

## VIII

Pogrzeb Piotra Bathary'ego odbył się cicho i prędko. Pomimo współczucia z jakim mówiono o zmarłym, niewiele osób poszło za jego trumną. Pogrzeb cichy i skromny nie daje ciekawym tematu do rozmów ani widowiska dla oczu. Przyjaciół i znajomych miała pani Bathary niewielu. Wstawiono trumnę do murowanego grobu, zasunięto kamienną płytę, a ponieważ wieczór zapadał, Borik nachylił się nad szlochającą matką i szepnął:

– Chodźmy do domu. Późno już. Chodźmy. Przyjdziemy tu jutro.

Wdowa bez oporu dała się wyprowadzić. Cmentarz opustoszał i stróż kołatką zawiadomił, że za kilka minut zamknie bramę cmentarną. Słońce już zapadło za góry i mrok ogarnął ziemię. W państwie umarłych cicho było i spokojnie. Z dala dolatywał gwar miasta, ale na cmentarzu tylko wietrzyk poruszał liście drzew.

Nagle zza wysokiego murowanego grobowca wysunęły się dwie postacie i poczęły wolno zbliżać ku świeżo zamkniętej mogile.

Stanąwszy przy płycie grobowej, jeden z ludzi począł przyświecać latarką, a drugi schylił się i jednym szarpnięciem uniósł kamienną płytę. Po czym, poszeptawszy z tym, który mu przyświecał, wsunął się do grobu i począł cicho i ostrożnie odbijać wieko trumny.

Człowiek stojący nad grobem nachylił się i szepnął:

– Pamiętaj Matifu, żebyś nie dotknął do lewego boku, bo wywołasz krwotok.

– Pamiętam, panie kapitanie. Wezmę go jak dziecko na ręce. Jest tak szczupły i mizerny, że jedną ręką dałbym sobie radę. No już gotowe.

Z otworu grobu wyłoniło się ciało Piotra, które doktor Antekirt ułożył na dużym miękkim płaszczu, rozpostartym na ziemi. W parę chwil później potężne barki Matifu wyłoniły się spod ziemi i olbrzym stanął obok swego kapitana. Zasunął płytę, poukładał wianki i wiązanki kwiatów i podniósł Piotra. Stąpając lekko i cicho skierowali się do małej furtki w murze, niedaleko głównego wejścia.

Matifu zakwilił jak sowa. Odpowiedziało mu podobne kwilenie i drzwi uchylily się lekko. Mały Pescada przepuścił obu towarzyszy, po czym zamknął starannie furtkę i wszyscy trzej skierowali się ku wybrzeżu.

– Panie kapitanie – szepnął Pescada – już widzę dwa światełka. Zejdźmy tą ścieżką. – Po chwili byli w łodzi, która cicho i prędko odbiła od brzegu, unosząc doktora, jego wiernych towarzyszy i ciało Piotra w nieznaną dal.

## IX

Tymczasem w pałacu bankiera Toronthala dni płynęły cicho i jednostajnie. Sawa poczyniała wstawać z łóżka, ale nie opuszczała swego pokoju. Godziny całe spędzała przy szesz-łagu, na którym leżała jej matka. Zdrowie bowiem pani Toronthal poczęło słabnąć z taką gwałtownością, że lekarze byli przerażeni, nie mogąc pomóc chorej, której życie ulatywało z każdą chwilą. Nie skarżyła się na nic, ale widać było, że do osłabienia fizycznego, spowodowanego chorobą serca, przyłączyło się

jakieś cierpienie moralne i z tym właśnie cierpieniem ani organizm, ani medycyna nie mogły walczyć. Leżała cicha i blada, słuchając czytania Sawy, ale widać było, że często nie słyszy nawet głosu córki.

Bankier odwiedzał żonę, okazywał jej nawet współczucie, ale pewnego dnia, kiedy byli sami w pokoju, do uszu Sawy, siedzącej w sąsiednim gabinecie, doleciał cichy, rozelkany głos matki, która widocznie gorąco męża o coś prosiła, a w chwilę potem podniesiony, gniewny głos bankiera:

– Nigdy, słyszysz, nigdy!

Po czym nastąpiło stuknięcie gwałtownie zamykanych drzwi i bankier powrócił do swoich apartamentów.

Sawa wbiegła do pokoju matki. Zastała ją we łzach. Ale żadne prośby i zaklęcia nie pomogły. Nie mogła, czy nie chciała, zwierzyć się córce ze swego cierpienia. Minęły jeszcze dwa dni. Pani Toronthal nie opuszczała już łóżka, a siły jej gasły z każdą godziną. Późnym wieczorem zdawała się usypiać i poprosiła Sawę, żeby się udała na spoczynek. Córka wahała się, nie chcąc zostawiać matki bez opieki, ale chora nalegała tak usilnie, mówiąc, że będzie spała, że młoda dziewczyna zdecydowała się położyć do łóżka.

Mijały godziny. Gdzieś daleko na zegarze wieżowym wybiła dwunasta. Pani Toronthal podniosła się na posłaniu. Poczęła się gorączkowo ubierać, nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi. Nogi uginały się pod nią, ale spieszyła się, jakby każda chwila była jej drogą. Na suknie narzuciła długi ciemny płaszcz i osłoniła głowę czarną koronkową chustką. Po czym, stąpając jak mogła najciszej, wyszła z pokoju i skierowała się ku schodom. Trzymała się mocno poręczy, bojąc się upaść. Chwilę mocowała się z ciężkimi drzwiami wejściowymi, gdyż drżące, osłabione ręce nie mogły przekreślić klucza, ale po chwili znalazła się na ulicy.

Cicho było i pusto wokoło. Pani Toronthal poczęła iść wolno w górę ulicy, opierając się raz po raz o ściany domów. Serce biło jej w piersiach, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Zegar wydzwonił kwadrans, a potem wpół do pierwszej. Chora zrobiła jeszcze kilkanaście kroków i zatrzymała się przed małym domkiem pani Bathary. Sięgnęła ręką do dzwonka, ale nagle jakby się rozmyśliła. Wyjęła z kieszeni list i wsunęła go w szparę między drzwiami a progiem, po czym, upewniwszy się, że żadnego skrawka papieru z zewnątrz nie widać, zawróciła wolno ku domowi. Ale widocznie przerachowała się z siłami, czy też poczucie dokonanego przedsięwzięcia nadszarpnęło ostatecznie zwątlone jej siły. Szła coraz wolniej. Przystawała coraz dłużej u ścian mijanych domów. Wreszcie blada, bez tchu, z czołem zroszonym potem, zatrzymała się przed drzwiami swego pałacu. Nacisnęła ciężką kłamkę, przestąpiła próg i osunęła się zemdlona na ziemię.

Służący znalazł ją rano i zaalarmował cały dom. Sawa zbiegła przerażona na dół. Wezwano lekarzy i przeniesiono chorą do jej pokoju. Bankier, powiadomiony przez służącego, zjawił się w pokoju żony, ale chora zdawała się go nie widzieć. Trzymała rękę Sawy i oczami prosiła, żeby pozostawiono ją w spokoju. Kiedy lekarze i służba usunęli się z pokoju, skinęła na Sawę i ledwo dosłyszalnym głosem szepnęła:

– Sawo, dziecko drogie, chcę ci coś powiedzieć. Bóg widzi, że łamię przysięgę, ale On mnie

zrozumie i wybaczy. Nie zgadzaj się dziecko na małżeństwo z Sarcany. To by było zbyt potworne. Pamiętaj, nikt nie ma prawa cię zmusić. Pamiętaj. Nie jesteś córką Silasa Toronthala. Twój ojciec... – ale tu głos jej się zarwał, twarz pokryła się śmiertelną bladością i bez życia upadła na poduszki. Sawa rzuciła się ku niej, ale zbiele usta nieszczęśliwej kobiety zamknęły się na zawsze.

W parę dni później odbył się wspaniały pogrzeb. Sawa usunęła się od ojca i narzeczonego i szła sama za trumną, która kryła drogie jej zwłoki. Wiedziała, że zmarła kobieta nie była jej matką, ale była dla niej zawsze tak dobrą i wyrozumiałą opiekunką. Przy tym była jej jedyną przyjaciółką, a teraz została biedna Sawa zupełnie sama na świecie. Zrozumiała teraz dlaczego z taką stanowczością i tak nieubłagane popychał ją bankier do małżeństwa z nienawistnym Sarcany. Był najzupełniej obojętny na łzy i prośby obcej mu dziewczyny. W stosunku do rodzzonego dziecka nie okazywałby tyle okrucieństwa. Widać było, że tych dwóch ludzi łączyły jakieś interesy, a ona, Sawa, miała być ofiarą ich machinacji. Czysta duszyczka Sawy skurczyła się z przerażenia na widok takiej podłości. Dotąd, wychowana przez dobrą, łagodną panią Toronthal, nie domyślała się nawet, że ludzie mogą być tak źli. Po śmierci swej przybranej matki pozostała nie tylko bez opieki, ale we władzy złych ludzi i narażona na tysiące niebezpieczeństw. Ale przy całej łagodności Sawa poczuła nagle taki przypływ energii i stanowczości, tak była pewna, że nie ulegnie w walce, że zupełnie spokojnie wracała z cmentarza. Wiedziała, że za chwilę czeka ją rozmowa, od której zależeć będą jej przyszłe losy.

Jakoż nie omyliła się. Bankier kazał ją prosić do gabinetu, gdzie już czekał Sarcany.

– Chcieliśmy pomówić z tobą, moje dziecko, o twoim ślubie – zaczął łagodnie Toronthal. – Wobec żałoby trzeba będzie go odłożyć, ale sądzę, że za parę miesięcy może się odbyć cichy ślub. Nieprawdaż?

Sawa podniosła na mówiącego spokojny, chłodny wzrok.

– Mówiłam już panu niejednokrotnie, że małżeństwo moje z tym panem jest niemożliwe i nigdy się nie odbędzie.

– Co ty mówisz – zerwał się bankier. – Zmuszę cię...

– Pan nie ma prawa mnie zmuszać, ponieważ nie jest moim ojcem – brzmiała spokojna odpowiedź.

– Co! Co? Co to znaczy?

– To znaczy, że wiem wszystko i nie pozwolę się zmusić.

– Co? Czyżby moja żona ośmieliła się...

– Żona pańska jest już na boskim sądzie. A tymczasem ja przysięgam panu, że nie zostanę żoną twojego współnika i przyjaciela. Nic nie zdoła zmienić mego postanowienia.

Z tymi słowy podniosła się z krzesła i wyszła z pokoju.

Bankier opadł bez siły na fotel.

– Zdradziła mnie! I to kto? Żona! A zdawało się, że słówka nie powie.

– Ładnie pan kierujesz moimi sprawami – odezwał się ironicznie Sarcany. – Ale ze mną żartów i wykrętów nie będzie. Za długo byłem nieobecny i zapomniałeś pan o tym, że ja tu decyduję i rządę. Ładnieście wychowali tę dzierlatkę. No dalej, rusz się pan i zabieraj do roboty. Najlepiej zrobimy, jeżeli wyjedziemy z Raguzy. Za dużo tu znajomych i ciekawych. Wyjedziesz pan razem z Sawą, a potem spotkamy się w Monte Carlo. O, tam ja się zaopiekuję tą hardą panienką, aż zmięknie i nabierze rozumu, a z panem spróbujemy szczęścia w ruletce. Diabło dawno nie miałem pieniędzy na tę miłą zabawę. Tymczasem żegnam. A pamiętaj pan, że ze mną żartów nie ma. Za dwa dni zamykasz swoją budę i wyjeżdżasz z córeczką. A ja przyłączę się do was za tydzień.

Sarcany wyszedł, rzucając hałaśliwie drzwiami. W wielkim, pustym gabinecie pozostał tylko bankier i szeroko otwartymi, przerażonymi oczami patrzył na drzwi. O jakże dobrze znał ten drwiący głos Sarcany'ego! Jak bardzo czuł władzę i obecność tego człowieka. Był bezbronny i słaby w jego rękach. Ten łotr wiedział tak dużo o znanym i szanowanym bankierze i tak umiał korzystać z tych wiadomości. Toronthal wiedział dobrze, że Sarcany nie posiadał już pieniędzy i że on, Toronthal, będzie musiał ze swoich dawać i wciąż dawać, aż zostanie zupełnie bez grosza i nigdy, nigdy nie uwolni się od tego straszego i potężnego współnika.

X

Po pogrzebie syna pani Bathary wyjechała na jakiś czas do Triestu. Wzywały ją tam rozmaite sprawy, które teraz po stracie jedyne dziecko musiała sama załatwiać. Towarzyszył jej wiemy Borik, ale starowinka niewiele mógł jej pomóc. Po tragicznej śmierci Piotra stracił resztę sił i zniedołężniał zupełnie. Pobyt pani Bathary przeciągał się, dopiero po upływie trzech tygodni wróciła do Raguzy. Wchodząc do mieszkania dostrzegła od razu kopertę leżącą pod progiem. Sięgnęła po nią i, spojrzawszy na nieznane pismo kobiece, położyła list na stole. Nic jej nie mówiło to obce pismo. Krewnych i bliskich nie miała. Od nikogo nie spodziewała się wiadomości. Czekają ją jeszcze tyle spraw w domu, a przede wszystkim odwiedziny u syna. Przecież już trzy tygodnie nie była na grobie swego dziecka. Poleciwszy więc Borikowi opiekę nad rzeczami i doprowadzenie mieszkania do porządku, poszła na cmentarz. Cicho tam było, jak zawsze, i tak dobrze, tak spokojnie.

O z jakże wielką chęcią i radością spoczęłaby biedna kobieta obok ukochanego dziecka. Nic ją z życiem i światem nie łączyło. Gdyby też dobry Bóg wysłuchał jej modłów i zabrał ją do siebie, a nie kazał tak długo czekać na połączenie się z mężem i synem. Mijały godziny, a biedna kobieta nie mogła oderwać się od ukochanego grobu. Poczęło zmierzchać. Trzeba było wracać. Borik będzie niespokojny. Podniosła się wolno i okrążając groby poczęła dłuższą drogą wracać do domu. Nagle wzrok jej padł na świeżą mogiłę, którą okrywały kwiaty. Rzuciła obojętnym okiem na krzyż i

bezwiednie prawie przeczytała: "Maria Toronthalowa", po czym następowała data śmierci sprzed tygodnia. Obce i nienawistne nazwisko samym wspomnieniem rozkrwawiło serce biednej kobiety i raz jeszcze przypomniało w całej okropności jej własne nieszczęście. Ale po chwili wrodzona dobroć przemogła i przyszło współczucie.

– Biedna kobieta! Niedługo cieszyła się szczęściem swojej córki.

Po czym spokojna już wróciła do domu.

Wieczorem przypomniła sobie list znaleziony na podłodze. Sięgnęła po niego i otworzyła kopertę. Nagle straszny krzyk wydarł jej się z piersi. Zerwała się jak nieprzytomna. Przerażony Borik wpadł do pokoju. Rzucił się ku swojej pani, ale nie mógł zrozumieć, co się stało. Staruszka szeptała coś szybko, z kimś rozmawiała, a oczy miała zupełnie nieprzytomne i widocznym było, że umysł jej doznał jakiegoś okropnego wstrząsu. Uśmiechała się przy tym i nagle, zwracając wesołe, uśmiechnięte oczy na starego sługę, rzekła:

– Spiesz się, Boriku, jeszcze nic nie gotowe, a za chwile będzie ślub Piotrusia z panną Ilonką Sandorf.

### CZEŚĆ III

#### I

Łódź podwodna "Electric 2", do której wsiadł doktor Antekirt z Matifu, dźwigającym ciało Piotra Bathary'ego, mknęła szybko i cicho. Nie widać było ludzi obsługujących potężną maszynę, nie odczuwało się kołysania ani wstrząsów. Doktor ułożył Piotra na wygodnej kanapce w kajucie, usiadł obok i począł wolno rozcierać dłonie młodzieńca. Patrzał przy tym uważnie w jego zamknięte oczy, a zsunięte brwi znamionowały ogromny wysiłek woli i skupienie myśli. Zdawało się, że chce swą duszę przelać w leżącego. Matifu siedział w kątku i na wpół z uwielbieniem, na wpół z trwogą patrzył na doktora. Miał on go zawsze za cudotwórcę, ale to co spodziewał się zobaczyć, przechodziło najśmielsze jego marzenia. Po długiej chwili powieki Piotra zadrgały. Usta poruszyły się i lekki, ledwo dostrzegalny oddech począł podnosić jego piersi.

– Piotrze, obudź się – szepnął doktor. – Obudź się. Już nie śpisz!

Powieki młodzieńca uchyliły się lekko.

– Poznajesz mnie?

– Doktorze! Co się stało? Gdzie ja jestem?

– Pomówimy potem o wszystkim. Teraz powiedz mi czy bardzo boli cię rana?

– Nie. Tylko nie mam zupełnie sił.

– Nic dziwnego. Wracasz z tak dalekiej drogi, że mogłeś się zmęczyć. Ale mam nadzieję, że za parę tygodni będziesz już zupełnie zdrow.

Doktor przyrządził choremu lekarstwo, po którym Piotr wpadł w mocny, pokrzepiający sen. Nie słyszał też, jak "Electric 2" przybił do brzegu. Nie czuł, jak go Matifu wziął znowu na ręce i niósł. Obudził się dopiero nazajutrz i aż zmrużył oczy przed oślepiającym, wesołym słońcem, które wraz ze świeżym podmuchem wiatru, wpadało przez otwarte okna dużego, jasnego pokoju. Leżał na wygodnym łóżku. W głębokim fotelu, przysuniętym do łóżka, siedział doktor Antekirt i patrzył na swego pacjenta.

– No, nareszcie obudziłeś się – uśmiechnął się na widok otwartych oczu Piotra. – Dostaniesz, moje dziecko, lekkie śniadanie i, jeżeli temperatura i puls pozwolą, pogadamy trochę.

Jakoż po godzinie Piotr, po śniadaniu i opatrunku, wyciągnął rękę do doktora i rzekł:

– Nie bardzo wiem, co się ze mną działo. Ale czuję, że życie swe zawdzięczam panu. Nie wiem, kto pan jesteś, skąd przybyłeś i jakim sposobem ja tu się znalazłem. Ale sądzę, że nie będzie pan trzymał mnie dłużej w tej nieświadomości.

Doktor uśmiechnął się i odparł:

– Postaram się zaspokoić twoją ciekawość. Dowiesz się wszystkiego. Pamiętaj tylko, że to, co ci powiem, pozostanie między nami. Jesteśmy sobie bardzo bliscy, bo obaj należymy do tamtego świata. Obu nas wykreślono z listy żyjących. Jestem Mateusz Sandorf.

– Jak to, przyjaciel mojego ojca! Ten, który utonął...

– Tak! Tak samo jak ty spoczywasz teraz na cmentarzu w Raguzie.

– Nic nie rozumiem...

– Właśnie chciałem ci to wszystko wytłumaczyć. Słyszałeś zapewne od matki, że kiedy twój ojciec został ranny i odwieziony do fortecy, Mateusz Sandorf rzucił się do morza. Tak było w rzeczywistości. Pod gradem kul wskoczyłem do morza i począłem szybko płynąć. Fale uniosły mnie daleko od brzegu, a były tak duże, że nie miałem sił zawrócić i wylądować na jakimś cyplu skalnym.



Poleciłem się więc Bogu. Płynąłem tak do późnego wieczora. Poczynalem już tracić siły, kiedy do uszu moich doleciał ogłuszający szum wody i hałas, jaki zwykle robią statki w pełnym biegu. Podniosłem głowę. Zobaczyłem o jakieś pół kilometra przed sobą kadłub parowca. Stał wprost na mnie. Wołanie na niewiele by się przydało. Z całych sił zacząłem uciekać na bok, nie chcąc, żeby ten olbrzym mnie zatopił. Ale fale, rozbijając się o dziób statku, odrzuciły mnie, zakreśliły i już, już poczęły mi się przelewać przez głowę, kiedy ręka moja uderzyła o łańcuch wlokący się za statkiem. Zrozumiałem, że to jest mój ratunek. Uchwyciłem się go z całej siły. Po chwili, korzystając z ciemności, począłem się wspinać wzdłuż łańcucha, aż wynurzyłem się z wody. Nie była to wygodna jazda. Okręciłem się łańcuchem i wparłem nogi w ścianę statku. Zawsze było to lepiej niż płynąć w wodzie. Noc była ciemna. Nie dostrzeżono mnie z pokładu. Godziny mijały i już poczynało świtać, kiedy statek zaczął zbliżać się do brzegu. Gwizdano i dzwoniono. Z portu odpowiedziały również sygnały. Nie wiedziałem ani jaki to statek, ani dokąd płynie. Rozumiałem tylko, że w tak oryginalny i niezwykle sposób nie mogłem wjeżdżać do portu. Kiedy więc zobaczyłem, że od brzegu dzieli nas jeszcze parę kilometrów, skorzystałem z mgły, która poczęła się z wody podnosić, puściłem łańcuch i wsunąłem się z powrotem do wody. Rozumie się, że nie wpłynąłem do portu. Skierowałem się ku nadbrzeżnym skałom i wypelzłem na brzeg. Rozłożyłem ubranie na słońcu, a sam, ukryty w zaroślach, przespałem o wieczora.

Dzięki poczciwemu rybakowi Ferrato miałem trochę pieniędzy. W ostatniej chwili wsunął mi w rękę kilkadziesiąt florenów, ukrytych w blaszanym pudełku po tytoniu. Ubrawszy się wiec w wysuszone ubranie, mogłem już śmieiej zapukać do drzwi jakiejś skromnej oberży. Wzięto mnie widocznie za robotnika, bo bez trudu dostałem izbę i posiłek. Nazajutrz dowiedziałem się z pism o przebiegu wypadków. Ojca twego wraz z Zathmarem rozstrzelano, a ponieważ ciała mego nie znaleziono, uznany zostałem za zmarłego i wykreślony z listy żyjących. W parę dni później wypłynąłem z Brindizi na statku, który się udawał do Azji Mniejszej. Nie wiedziałem jeszcze, co tam będę robił. Natomiast miałem pewność, że nie spotkam tam znajomych i nikt mnie nie będzie śledzić. Wiesz, że jestem lekarzem z wykształcenia. Postanowiłem więc osiąść gdziekolwiek na wschodzie i leczyć. Poszło mi to nadspodziewanie dobrze. Kilka wypadków, w których udało mi się pomóc pacjentom, rozniosły moją sławę. Stałem się znanym i poszukiwanym. Rozumie się, że wtedy nie występowałem pod starym nazwiskiem. Mateusza Sandorfa już nie było. Figurował doktor Antekirt. Pewnego dnia wezwano mnie do bogatego kupca w Homs, w północnej Syrii. Człowiek ten imieniem Faz Rhat był chory od wielu lat. Leczył się u najrozmaitszych lekarzy i mędrców, ale bezskutecznie. Podobno miał ofiarować połowę swego majątku w zamian za wyleczenie. Ale nikt mu nie mógł pomóc. Przybyłem na miejsce. Zastałem go rzeczywiście poważnie chorego, ale po upływie dwóch tygodni pacjent mój wyzdrowiał dzięki kuracji, którą mu przepisałem. Chciał mi ofiarować naprawdę olbrzymią sumę za wyleczenie, ale odmówiłem i przyjąłem zwykłe swe honorarium. Powróciłem do Damaszku, gdzie wówczas mieszkałem, i pracowałem dalej. W niespełna dwa lata później dowiedziałem się, że Faz Rhat zginął podczas polowania na tygrysy. Okazało się, że cały swój olbrzymi majątek zapisał mi w testamencie. Stałem się posiadaczem ogromnej fortuny. Kupiłem wtedy tę małą wyspę na Morzu Śródziemnym, nazwałem ją Antekirtą i zabrałem się do fortyfikowania mojej nowej posiadłości. Kiedy będziesz zdrow, obejdziemy całą wyspę i pokażę ci, czym właściwie jest. Tymczasem uważam, że dostatecznie cię dziś zmęczyłem swym opowiadaniem. Jako lekarz zalecam ci bezwzględny odpoczynek. Gdybyś czego potrzebował, masz dzwonek pod ręką, a Pescadę i Matifu w sąsiednim pokoju.

## II

Nazajutrz Piotr czuł się daleko silniejszy i znowu po śniadaniu czekał na doktora. Jakoż doktor Antekirt przyszedł w południe i siadł przy łóżku pacjenta.

– Panie doktorze – zaczął nieśmiało Piotr. – Mówiła mi matka, że pan miał córeczkę. Co się z nią stało? Twarz doktora pokryła się śmiertelną bladością.

– Czy sądzisz, że gdyby żyła, zgodziłbym się nie mieć jej przy sobie? Z chwilą kiedy tylko dorobiłem się pewnego majątku i mogłem bezpiecznie komunikować się z Europą, wysłałem pewnych i zaufanych ludzi do mego zamku Artenak. Niestety wiadomości, jakie stamtąd otrzymałem, były okropne. W niespełna rok po moim uwięzieniu dziecko zginęło w dziwny i niewytłumaczony sposób. Bawiło się pod okiem piastunki w ogrodzie w pobliżu potoku, który przepływał przez park. Może wpadło do wody, bo nad brzegiem znaleziono jej kapelusik. Ale ciała, pomimo najstaranniejszych poszukiwań, nie wyłowiono. Dzieci wiejskie opowiadały, że ją pewnie porwała banda Cyganów włócząca się po okolicy. Ale nikt temu nie dawał wiary. Po konfiskacie mego majątku część przypadająca na Ilonkę, została wydzielona i miała jej być wręczona po dośnięciu do pełnoletności. Słyszałem, że obecnie rząd opiekuje się tą sumą, zanim nie minie dwadzieścia lat od chwili jej zniknięcia. Ale to są już dla mnie drobiazgi bez znaczenia. Posiadam sam znacznie więcej niż dawniej. A nie mam dziecka, któremu bym to zostawił. Pomagam więc ile mogę ludziom, a z wyspy Antekirta chcę utworzyć kolonię ludzi, którzy byli bardzo nieszczęśliwi, albo biedni, a obecnie zaznają trochę dobrobytu i szczęścia pod moją opieką.

– Czy ja mam być też zaliczony do tych ludzi? – uśmiechnął się Piotr.

– Rozumie się. Ale ponieważ jesteś młody i wykształcony, postaramy się, żebyś wyzyskał swe umiejętności jako budowniczy i pomógł nam w pracy. O ile rozumie się nie pozwolisz się opanować znowu myśli o samobójstwie.

– O samobójstwie? Jak to, czy pan myśli, że ja sam chciałem się zabić?

– Tak wszyscy sądzili.

– Ależ doktorze! Czyżbym ja mógł myśleć o odebraniu sobie życia, dopóki żyła moja matka i dopóki czułbym, że Sawie mógłbym być potrzebny?

– Więc co się stało? Przyniesiono cię z przebitą piersią.

– Ten, który mnie pchnął sztyletem, zrobił to w taki sposób, że nikt nie wiedział o jego udziale w

zbrodni. Ulica była pusta, ciemno już było. Ale go poznałem. Za dobrze pamiętam jego postać, żeby się mylić.

– Ale na Boga! Któż to był?

– Narzeczony Sawy, Sarcany.

– Sarcany! Jeszcze on! – krzyknął doktor.

– Czy pan go zna?

– Moje dziecko, znam aż nadto dobrze szczegóły śmierci twego ojca i jego towarzyszy. Otóż tym, który odcyfrował list, który podstępnie wszedł do domu Zathmara i który o wszystkim doniósł policji, był Sarcany.

– Jak to? Ten łotr! I jeszcze żyje! Ale miał chyba współników.

– Owszem. Miał potężnego współnika, który się z nim podzielił pieniędzmi skazanych.

– Któż to był?

– Bankier Silas Toronthal.

Twarz Piotra zbieleła. Opadł bez siły na poduszki.

Doktor ujął go za rękę.

– Widzisz, moje dziecko, że małżeństwo twoje nie mogło dojść do skutku. To by było zbyt okropne. Chciałem cię zabrać z Raguzy. Wypadki zrzędziły, że zniknąłeś dla świata na zawsze. Ale przysięgam ci, że znajdziemy i ukarzymy winnych. A ty mi będziesz pomocą.

### III

Doktor, pomimo że mieszkał na swej wysepce i cały był oddany pielęgnowaniu chorego Piotra, nie zrywał tajemniczych nici, wiążących go ze światem. Depesze przychodziły na wyspę często, a ich szyfrowana treść widocznie dużo mówiła doktorowi, bo długie godziny spędzał samotnie w gabinecie.

W parę tygodni po wyżej opisanych wypadkach, doktor zszedł do ogrodu, w którym siedział Piotr.

Młody inżynier był już zupełnie zdrow i tylko bladość i smutek na twarzy mówiły o przebytej chorobie.

– Piotrze, za parę dni wyruszamy w świat. Otrzymałem niepokojące wieści z Raguzy.

– Czyżby moja matka...

– Matka twoja wyjechała z Borikiem. Jeszcze nie wiem dokąd. Ale mam nadzieję, że się dowiemy. Ale Toronthal z córką i Sarcanyem wyjechali również.

– Czy wie pan w jakim kierunku?

– Prawdopodobnie do Monte Carlo. Nie powinni nam zginąć z oczu. Trzeba jednak działać ostrożnie, żeby się nie domyślili, że są śledzeni.

Po południu udał się doktor w towarzystwie Piotra do portu. Stało tam kilka łodzi podwodnych, znany nam już jacht "Sawarena" i duży mocny statek "Ferrato".

– Tym pojedziemy. Moja wysepka leży w tak szczęśliwym, czy nieszczęśliwym miejscu, że ilekroć wypływam, czy wracam, czeka, nas niechybnie burza. Oszczędza mi to wizyt nieproszonych i ciekawych gości. Natomiast moja załoga dobrze się zawsze napracuje.

– Zdaje mi się, że przyjechałem tu podwodną łodzią.

– Tak. Mam ich pięć. Szybkość ich i wytrzymałość jest niezrównana. Nie mogę jednak zabrać na nie tylu ludzi ile będzie mi potrzeba.

– Czy tym razem zabierze pan więcej marynarzy?

– Mój kochany, muszę niestety walczyć nie tylko z Sarcanyem i Toronthalem. Ta para łotrów czerpie jeszcze dochody z innego źródła, które udało mi się odkryć. Słyszałeś zapewne i czytałeś w pismach o stałych napadach rozbójniczych na Sycylii. Żaden statek nie jest bezpieczny od tych bandytów. Mam pewne wieści, że głównym organizatorem jest tam niejaki Zirone.

– Czy zna go pan?

– Nie. Ale wiem, że to przyjaciel i prawa ręka Sarcany'ego. To mi wystarcza.

– Czy sądzi pan, że Sarcany będzie z nim razem?

– Tego jeszcze nie wiem. Ale po nitce dojdziemy do kłębka. Tymczasem zrobimy wycieczkę na Etnę. Nie znasz jeszcze tej góry i nie widziałeś krateru. Będziemy udawać Anglików podróżujących dla przyjemności.

– Czy zabiera pan Pescadę i Matifu?

– Matifu pojedzie z nami. A Pescada jest już od tygodnia nieobecny.

- Czy wysłał go pan do Raguzy?
- Pescada od czterech dni jest członkiem bandy Zirona i prawdopodobnie napadnie na nas podczas naszej wycieczki. Piotr spojrział na mówiącego ze zdumieniem.
- Doprawdy im dłużej przyglądam się temu, co pan robi, tym więcej się dziwię i... mniej rozumiem.
- Widzisz, mój kochany, łatwo jest walczyć, kiedy się ma za sobą prawo, pomoc i nie trzeba się kryć. A ja muszę dosięgnąć swoich przeciwników, nie odwołując się ani do wojska, ani do policji, ani do opieki prawnej. Ale wierzę mocno, że prawda i sprawiedliwość zatriumfują. Tymczasem gotuj się do drogi, bo jutro o świcie wypływamy.

#### IV

"Ferrato" mknął szybko i pod wieczór przybił do brzegów Sycylii. Doktor i Piotr wysiedli. Towarzyszył im Matifu. Udali się na nocleg do oberży, skąd rankiem mieli się udać do Casa Inglese, schroniska na zboczu Etny.

O kilkanaście kroków od hotelu zaczepił ich jakiś oberwany żebrak utykający silnie na lewą nogę. Wyciągając rękę zaczął głośno i płaczliwie wyliczać wszystkie choroby i nieszczęścia, jakie go spotkały.

– Uno soldo signore! Uno soldo! Jestem kaleka od urodzenia.

Aż nagle szepnął cichym, ale wyraźnym głosem w samo ucho doktorowi:

– Zbierają się o dwa kilometry od Casa Inglese. Po czym znowu zaczął jęczeć:

– Uno soldo, uno soldo! Będzie ich przeszło trzydziestu. Uno soldo! Sam Zirone dowodzi.

Nagle zatrzymał się, przeliczył pieniądze, które mu doktor podał i zawołał półgłosem do mijającego go Matifu:

– A nie zastrzel mnie przypadkiem, mój stary, bo nie miałbyś kim żonglować.

I zginął w bocznej ulicy.

Nazajutrz doktor zwiedzał okolice Etny, ale wejście na górę odłożył do dnia następnego. Nikt też nie widział, jak oddział składający się z dwudziestu dobrze uzbrojonych marynarzy, począł się wspinać

na zbocza góry. Ciemno było, a ludzie ci, przebrani w ludowe sycylijskie stroje, nie różnili się na pierwszy rzut oka niczym od wieśniaków, wracających od roboty. Szli też po dwóch, trzech. Nie dochodząc do Casa Inglese znikli w załomach skalnych, jakby się w ziemię zapadli.

Następnego dnia doktor, Piotr i Matifu wyruszyli na Etnę. Towarzyszyło im dwóch przewodników i parę poganiaczy mułów. W porcie i w oberży wiadano, że goście są bardzo zamożni, że przyjechali własnym statkiem i nie żałują pieniędzy. Ostrzegano ich nawet, że niebezpiecznie jest puszczać się w góry bez opieki większej ilości mulników, ale doktor żartował sobie z tych ostrożności. Ten i ów wiedział, że doktor obiecał hojną nagrodę przewodnikom za dobre i rącze muły. Mała karawana ruszyła w górę. Widok był prześliczny. Dzień jasny i niezbyt gorący.

Pod wieczór miano się zatrzymać w schronisku Casa Inglese.

Nagle Piotr, jadący obok doktora, rzekł:

– Czy pan zauważył, że ten wieśniak mija nas już trzeci raz? Nie rozumiem jak on to robi, ale jestem pewien, że się nie mylę. Doktor spojrział na wskazanego:

– Masz słuszość. Ja go również zaobserwowałem. Ale mamy jeszcze czas. – Po czym spojrział na niebo i zwrócił się do starszego przewodnika:

– Sądzę, że za pół godziny będziemy na miejscu.

– Tak, wielomozny panie, czeka nas tylko trudna przeprawa o jakieś sto kroków od Casa Inglese. Woda po ostatnim deszczu zniszczyła drogę i trzeba będzie przejść kawałek piechotą.

– Ano, to trudno – odparł doktor. – Pójdziemy, Mamy jeszcze dobre nogi.

Jakoż po upływie niespełna pół godziny karawana zatrzymała się i podróżni musieli posiadać z wierzchowców. Droga była rozmyta, zarzucona głazami i kłocami drewna.

Nagle, gdzieś z wysoka, poczęły się toczyć drobne kamienie. Zakwilił orzeł i rozległ się wystrzał. Doktor chwycił rewolwer ukryty w kieszeni. Piotr i Matifu poszli za jego przykładem. Przewodnik, śmiertelnie blady, skoczył do doktora i począł

szeptać:

– Panie, to ich znak. Broń nas panie, bo nie ujdziemy z życiem.

Jakoż zza skał poczęli się wysuwać ludzie uzbrojeni w strzelby i otaczać ze wszystkich stron małą karawanę. Doktor, nie tracąc ani na chwilę zimnej krwi, oparł się plecami o skałę i, patrząc uważnie w górę, gwizdnął przeciągle. Nagle stała się dziwna rzecz. Jeden spomiędzy zbliżających się bandytów, powtórzył to hasło z tak nadzwyczajną siłą, że echo powtórzyło je donośnie i w tejże chwili zza bandytów poczęły się wysuwać postacie uzbrojonych wieśniaków. Na dany znak rzucili się na nie przygotowanych na tę napaść bandytów. Wywiązała się zażarta walka, która pierścieniem otoczyła podróżnych. Napadający zostali napadnięci i to w sposób tak nagły i nieoczekiwany, że stracili zupełnie głowy. Poczęli strzelać na oślep, a ponieważ nie zdawali sobie sprawy w jakiej sile

i liczbie jest nieoczekiwany wróg, szeregi ich załamały się i raz po raz któryś z nich usiłował przemknąć niespodziewanie i uciec w góry. Ale celne strzały wieśniaków z jednej strony, a doktora i jego towarzyszy z drugiej, kładły gęsto trupem bandytów. Jeden spomiędzy nich, mały i dziwnie zręczny, począł się szybko zsuwać ku miejscu, gdzie stał doktor. Wtedy herszt bandy, który jeden nie tracił zimnej krwi i bronił się zajadle, dostrzegł go i z dzikim, wściekłym okrzykiem począł go gonić. Dopiero w tej chwili zrozumiał, że ten mały włóczęga, który zaciągnął się do jego bandy, a którego nikt nie znał, musiał go zdradzić.

Mały Pescada, bo on to był, czuł niebezpieczeństwo i szybkimi, śmiałymi skokami uciekał pod opiekuńcze skrzydła doktora. Nagle nóż, rzucony wprawną i silną ręką, ugodził go w plecy i mały linoskoczek z jękiem potoczył się pod stopy Matifu. I wtedy stało się coś dziwnego. Łagodny olbrzym, z którego wszyscy żartowali, że nigdy muchy nie zabił, przeistoczył się w dzikie zwierzę. Jak szalony rzucił się na górę. Jednym skokiem dopadł Zirona, uchwycił go za kołnierz, dźwignął i cisnął ze skały. Ciało zatoczyło łuk i znikło w bezdennej przepaści.

Mały Pescada był pomszczony. Matifu obejrzał się nieprzytomnym wzrokiem i dopadł następnego bandytę. Aż nagle doleciał go z dołu głos doktora.

– Bierz żywcem Matifu! Nie zabijaj!

Oprzytomniał. Złapał jeńca za kołnierz. Jednym strzepnięciem wyrzucił mu nóż z ręki, podniósł jak psiaka i począł wolno schodzić na dół, walka już się skończyła. Bandyci, pozbawieni herszta, poddali się i pozwolili związać ludziom doktora Antekirta. Marynarze otoczyli ich zwartym kołem i odprowadzili na dół, ku miastu. Tam zostali oddani do dyspozycji miejscowych władz i zamknięci w więzieniu.

Doktor tymczasem z pomocą Piotra opatrywał ranę Pescady. Na szczęście nóż poranił tylko mięśnie, nie uszkodziwszy płuc ani serca. Pescada otworzył oczy:

– Nic mi nie będzie, doktorze. Boli jeszcze trochę, ale to drobnostka. – Doktor uśmiechnął się.

– Jeżeli Matifu zawsze tak się będzie mścił za krzywdę tobie wyrządzoną, nie chciałbym mieć z nim porachunków.

– Poczciwy mój grubas. Ale gdzie on się obraca?

– Trzyma jeszcze jednego jeńca. Gdybym go nie odwołał, powrzucałby ich wszystkich jak gruszki do przepaści. No, mam nadzieję, że starczy ci sił na dojechanie do portu. Bo zaraz wracamy na dół. Wycieczkę na Etnę zrobimy innym razem.

Doktor podszedł do Matifu. Olbrzym trochę zawstydzonym wzrokiem patrzył na swego kapitana.

– Bardzo pana przepraszam, że się uniosłem – zaczął nieśmiało. – Wiem, że panu zależało na zasięgnięciu informacji od Zirone. Ale kiedy zobaczyłem mojego biednego Pescadę, czerwono mi się zrobiło w oczach i sam nie wiedziałem co robię. Ale może ten drugi łotr będzie coś mógł powiedzieć.

Tu podniósł skrzepowanego człowieka, który jak bezwładny leżał na ziemi, i postawił go przed doktorem. Ale ten na widok dzikiej twarzy bandyty drgnął i zawołał:

– Tego na razie nie szukałem. Ale widocznie sądzone mi było, żebym go dostał w ręce. Strzeż go Matifu jak najpilniej. Odstawisz go do więzienia i polecisz jak najstaranniejszej opiece dyrektora więzienia. Zapowiedz też, że niedługo będę u niego i złożę zeznania. A teraz ruszajmy na dół.

W parę dni po wyżej opisanych wypadkach doktor przyjmował na swym statku gości. Przybył prefekt, dyrektor więzienia i liczni przedstawiciele miasta i wsi. Chcieli poznać osobiście sławnego lekarza i podziękować mu za uwolnienie okolicy od groźnych bandytów. Mówiono, rozumie się, o przebiegu wypadków i o złapanych rozbójnikach.

– Oddał nam pan rzetelną przysługę, zabijając tego Zirone – odezwał się prefekt. – Oszczędziliśmy sobie trudnego i zawiłego procesu, bo podobno ten ptaszek był wszechświatowej sławy bandytą i miał licznych towarzyszy poza granicami państwa.

– Sądzę, że lepiej by było mieć go żywego w ręku

– uśmiechnął się doktor. – Ale niestety nie zdążyłem powstrzymać mojego towarzysza, który w tak gwałtowny i doraźny sposób pomścił ranę przyjaciela.

– A jakże się sprawa ten osobnik, którego doktor polecił specjalnej opiece pana? – zapytał prefekt dyrektora więzienia.

– Nie odpowiada na pytania i w ogóle wypiera się wszelkiego udziału w napadzie. Wiem tylko, że się nazywa Carpena i od niedawna jest w tej okolicy.

– Prosiłem pana o opiekę nad tym więźniem – odezwał się doktor – gdyż mam wrażenie, że człowiek ten jest bardzo wrażliwy na hipnozę. Podczas mego pobytu na wschodzie, studiowałem specjalnie tę gałąź wiedzy, która, jak państwo wiedzą, ma między szamanami i znachorami wielkie zastosowanie. Chciałem więc sprawdzić, czy się nie mylę.

– Jak to – zdziwił się prefekt – czy sądzi pan, że można by z nim zrobić doświadczenie?

– Jestem tego pewien.

– A to by było ciekawe. Słyszałem i czytałem o tym wiele, ale nigdy nie miałem sposobności naocznie się przekonać.

– Wobec tego spróbujemy jutro. Będę na pana czekał przed więzieniem o godzinie dwunastej w południe. Zobaczy pan tego człowieka, a wieczorem zrobimy eksperyment.

– Jak najchętniej. Proszę wszystkich tu obecnych, aby byli łaskawi przyjść do mnie o ósmej wieczorem. Jeżeli doktor pozwoli, poprosimy też kilka pań. Jestem przekonany, że moja żona będzie bardzo zainteresowana tym doświadczeniem.

– O jedno tylko proszę – odezwał się dyrektor więzienia



– żeby mój Carpena nie uciekł podczas eksperymentu. Wiem, że niejedna zbrodnia ciąży na jego sumieniu i jestem za niego odpowiedzialny.

– Ręczę panu – odparł doktor – że nie będzie myślał o ucieczce.

– On sam może nie. Ale ma współników i przyjaciół. Już od wczoraj kręci się koło więzienia jakaś stara żebraczka i chce go zobaczyć. Podaje się za jego matkę.

– Czy rozmawiał ktoś z nią?

– Ja nie. Ale miałem dziś raport starszego dozorca. Podobno chciała go przekupić i uzyskać widzenie.

– I cóż dalej?

– Kazałem ją bacznie śledzić, a przy więzieniu podwoiłem

straż.

– No więc nie mamy się czego obawiać. A dozorca mogą przecież iść w pewnej odległości i uważać na jeńca.

Goście pożegnali doktora i wrócili na brzeg.

Nazajutrz w południe doktor w towarzystwie prefekta i dyrektora więzienia wchodził do celi Carpeny. Więzień na widok nieoczekiwanych gości podniósł się z tapczana i stanął, nie podnosząc głowy.

Prefekt zadał mu parę pytań, na które nie otrzymał odpowiedzi. Nagle Carpena podniósł oczy i spojrzał na doktora. Nie wymówił ani słówka, tylko źrenice jego rozszerzyły się i przybrały tępy, nieprzytomny wyraz. Doktor patrzył wprost w oczy więźnia, po czym podniósł rękę, jakby czyniąc jakiś nakaz, i wyszedł z celi. Carpena rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem po celi, podszedł do tapczana i najspokojniej – w świetle położył się na siennik i usnął. Prefekt i jego towarzysz patrzyli na to ze zdziwieniem. Wyszli na korytarz, gdzie oczekiwał ich już doktor.

– Co się stało doktorze? Nic nie rozumiem.

– Zdaje mi się, że trafiliśmy na wyjątkowo wrażliwy organizm. Resztę zobaczą państwo dziś wieczorem w salonach szanownego pana.

Tu skłonił się w stronę prefekta.

– Ale co nastąpi?

– Otóż ten bandyta wejdzie najspokojniej do pana salonu i weźmie pana za panującego nam króla, będzie prosić o łaskę. No i może jeszcze o order za zasługi.

- Jak to! On się ośmieli?
- Rozumie się. Przecież nie będzie wiedział, co robi. A potem wróci najspokojniej do więzienia.
- Ale uprzedzam, że poślę za nim w pewnym oddaleniu dwóch dozorców – odezwał się dyrektor więzienia.
- Ależ rozumie się – uśmiechnął się doktor. – Lepiej się zabezpieczyć. A tymczasem żegnam panów, bo muszę jeszcze wydać parę rozporządzeń swoim ludziom. Dziś w nocy odpływamy.
- Niechże się pan tylko nie spóźni, panie doktorze – prosił prefekt. – Ogromnie mnie zaciekawia to doświadczenie.

## V

Na statku wiedziano już o podróży. Marynarze gotowali się do drogi i "Ferrato" był pod parą. Doktor zawołał Matifu i odbył z nim cichą i krótką rozmowę.

Po kwadrancie mała łódka rybacka odbiła od statku i podążyła ku brzegowi. Siedziało w niej trzech rybaków, z których jeden, wyjątkowo dużego wzrostu, wiosłował. Dwaj inni oglądali nową sieć, przygotowując się widocznie do nocnego połowu.

O wpół do ósmej doktor Antekirt w towarzystwie Piotra wchodził do salonu gubernatora. Liczni zgromadzeni goście powitali go owacyjnie.

Wszyscy mówili o mającym się odbyć doświadczeniu i, jak zwykle, zdania były podzielone. Otoczono doktora, prosząc go o bliższe szczegóły i informacje. Zegar wydzwonił ósmą.

– Nasz pacjent wychodzi z więzienia – odezwał się doktor.

Zdumienie ogarnęło gości. Poczęli spoglądać to na doktora, to na drzwi. Po kwadransie zabrzmiał znowu spokojny głos doktora:

– Carpena wchodzi na schody. W tej samej chwili wpadł do salonu zmieszany lokaj i, podbiegłszy do prefekta powiedział mu coś szeptem.

– Wpuśćcie go – odparł prefekt.

Nagle drzwi, pchnięte silną ręką, otworzyły się i na progu stanął człowiek w ubraniu więźnia.

Wolnym krokiem zbliżył się do prefekta i ukląkł przed nim.

– Czego chcesz i kto jesteś? – zapytał prefekt.

– Jestem Carpena. Proszę cię najjaśniejszy panie o łaskę i darowanie win.

– Owszem darowuję ci twe winy – odparł prefekt. – Czy masz jeszcze jakieś życzenie?

– Za zasługi, jakie oddałem ojczyźnie, proszę o nagrodzenie mnie krzyżem.

Prefekt zrobił ruch, jak gdyby odpinał krzyż ze swej piersi i podał go klęczącemu. Carpena natomiast zrobił ruch rękami, jak gdyby krzyż do piersi przypinał. Po czym powstał i wolnym, automatycznym krokiem wyszedł z sali.

Prefekt, doktor i część gości podążyła za nim. Wyszedł z pałacu i począł iść w kierunku więzienia. Dwaj dozorczy postępowali za nim w pewnej odległości. Nagle, niedaleko więzienia, Carpena skręcił w ciemną boczną uliczkę i podwoił szybkość. Prefekt, doktor i dozorczy podążyli za nim.

– Co się stało? – zapytał prefekt. – Dlaczego on nie wraca do więzienia?

– W każdym razie śpi – odparł doktor – a nie ucieknie nam z pewnością.

– Uliczka ta prowadzi do morza. Zamyka ją skała, na której postawiono kiedyś mocną kratę, bo brzeg tu jest stromy i wyjątkowo wysoki. Obawiano się wypadków.

Carpena tymczasem już nie szedł, ale biegł kłusem. Na dany przez prefekta znak, dozorczy podążyli spieszenie za nim.

Nagle więzień dobiegł do kraty, o której mówił prefekt, wspiął się na nią z istic małpią zręcznością i skoczył do morza.

Dozorczy zatrzymali się, nie wiedząc co robić. Przepaść była tak głęboka, a ściana skalna tak gładka i stroma, że nie było mowy, żeby zbieg jeszcze żył. Jeżeli nie rozbił się o występy skalne, utonął w morzu.

– Co się stało, doktorze? – zapytał prefekt.

– Sądzę, że mój pacjent uległ chwilowo atakowi obłądzenia i dlatego wola jego wyłamała się spod mojego wpływu. Przykro mi tylko, że zagmatwałem sprawę. Czy dyrektor więzienia nie będzie miał z tego powodu przykrości?

– Ależ bynajmniej. Przede wszystkim byłem sam świadkiem tego, co zaszło. A jeżeli łotr ten sam sobie, chociaż bezwiednie, wymierzył sprawiedliwość, nie widzę znów w tym wielkiego nieszczęścia. Oszczędził nam tylko fatygi przygotowania mu szubienicy.

– W takim razie pozwolę sobie już pożegnać panów – rzekł doktor. – Dziękuję serdecznie za miłe i gościnne przyjęcie. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

– Ale to my winniśmy panu podziękować za ciekawe doświadczenie, któregośmy byli świadkami. No i za tę nieocenioną przysługę, jaką nam pan oddał, uwalniając nas od bandy Zirona. Niechże pan w swych podróżach nie zapomina o Sycylii.

Po wymianie grzeczności i pożegnaniu, doktor w towarzystwie Piotra wrócił na pokład "Ferrata". Czekał nań już Matifu.

– No, jakże wam poszło? – spytał doktor.

– Bardzo dobrze panie kapitanie, wyłowiliśmy go natychmiast. Śpi ciągle z otwartymi oczami. Nic nie słyszy i nie odpowiada na pytania. Zamknęliśmy go w ostatniej kajucie.

– To dobrze. Dziś wracamy na Antekirte, dokąd odwieziemy naszą zdobycz. A za kilka dni wyruszamy znowu. Zaczynają się dla nas ciężkie czasy mój stary. Rozpoczynamy polowanie na najgrubszą zwierzynę.

– Bylebym tylko miał co do roboty, panie kapitanie, a dam sobie wszystkiemu radę. Muszę teraz popracować za dwóch, bo chciałbym, żeby Pescada odpoczął.

W nocy "Ferrato" podniósł kotwice i skierował się na południe.

## VII

W kilka dni później doktor kazał prosić do siebie Piotra. Młody inżynier, starając się wywdziżyć swemu zbawcy i opiekunowi, zabrał się gorliwie do pracy. Pod jego kierunkiem fortyfikowanie Antekiry posuwało się szybko naprzód. Dnie całe spędzał przy robotnikach. Na wezwanie doktora pospieszył skwapliwie.

– Czeka nas nowa podróż, mój chłopcze. Ale tym razem będziesz w niej głównym zainteresowanym.

– Czy jedziemy po Sarcany'ego? Doktor podał mu depeszę, którą trzymał w ręku. Piotr spojrział na nią i pobladł. Przeczytał: "Bor. i pani Bath. w Syrakuzach. Nędza. Pani chora umysłowo".

– Co się stało. Nic nie rozumiem – wyszeptał młodzieniec.

– Nie chciałem cię niepokoić – odparł doktor – ale wiedziałem już dawno, że matki twojej nie ma w Raguzie. Byłeś sam jeszcze chory i osłabiony. Kazałem więc swoim ludziom szukać jej i dopiero dziś otrzymałem odpowiedź. Co się tyczy jej zdrowia przeszła tyle cierpień, że młodsze i zdrowsze organizmy uległyby, a strata syna musiała ją ostatecznie złamać. Zabierzemy ją na Antekirte. Może

pod wpływem kuracji i opieki nerwy jej się uspokoją, wtedy poprobujemy ją wyleczyć. Tymczasem dziś jeszcze pojedziemy po nią do Syrakuz.

Wieczorem "Ferrato" zabrał znów na swój pokład podróżnych. Nazajutrz wysiedli w Syrakuzach. Wysłani ludzie przynieśli w kilka godzin później wiadomość, że w małym domku na przedmieściu, u pewnej ubogiej szwaczki, mieszka pani, która przyjechała niedawno i która jest chora umysłowo.

Piotr w towarzystwie doktora udał się pod wskazany adres. Przed progiem nędznej lepianki stary Borik łupał małe drewno. Piotr na widok starego sługi zatrzymał się i zawołał półgłosem:

– Borik!

Stary obejrzał się i drzewo wypadło mu z ręki.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! A to mi się przywidziało!

– Nie przywidziało ci się stary, to ja, Piotruś. Czy nie poznajesz mnie?

– O Boże, nie doświadczał mnie – jęknął stary sługa. – Czy ja też zwariowałem?

– Uspokójcie się – odezwał się doktor, występując naprzód. – Przecież mnie poznajecie. Pan Piotr był tylko chory. Ale już wyzdrowiał. Przyjechaliśmy po was. Gdzie jest pani Bathary?

Borik zbliżył się nieśmiało.

– To pan doktor! Bogu niech będą dzięki. Tak się modliłem, żeby pana raz jeszcze zobaczyć. Paniczu drogi – zwrócił się do Piotra. – Moja stara głowa widocznie nie może wszystkiego zrozumieć. Ale od tych nieszczęść już się rozum macić może. Chwała Bogu, że panowie przyjechali. Chodźcie do naszej biednej pani. Nie poznaje nikogo. A wciąż mówi o ślubie panicza z jakąś panią, ale nie znam takiej.

Wprowadził obu do izdebki, gdzie na fotelu pod oknem siedziała pani Bathary. Nie spojrzała na wchodzących, zda się nie dostrzegła. Piotr rzucił się ku matce. Ale staruszka spojrzała na niego i szepnęła:

– Trzeba się spieszyć na ślub Piotrusia, bo będzie za późno.

Młodzieniec płakał jak małe dziecko, obejmując i całując siwą głowę matki i jej białe, niemal przezrocyste ręce. Doktor rozejrzał się po izbie. Pod drugim oknem stała wysoka, szczupła kobieta, trzymając rozpoczętą robotę w ręku. Była to widocznie właścicielka mieszkania. Twarz jej wydała się doktorowi znajoma.

– Musimy pani serdecznie podziękować za opiekę nad tą biedną chorą. Zabierzemy ją stąd i oszczędzimy pani kłopotu.

– O, nie był to znów tak wielki kłopot. Ta biedna kobieta musiała dużo w życiu przecierpieć. Przypadkiem spotkałam jej starego służącego na ulicy i zaproponowałam mieszkanie u siebie. Nie

chciano im nigdzie wynająć mieszkania. Ludzie boją się chorych.

– A pani się nie bała?

– Nie. Mieszkam tu sama. Miło mi było mieć gości. Niestety nie mogłam im dać wielkich wygód.

– Przepraszam panią za śmiałe pytanie, ale zdaje się, że spotkaliśmy się już kiedyś w życiu. Przypominam sobie pani twarz, chociaż to musiało być bardzo dawno.

– Być może. Ale ja pochodzę z tak daleka, że nie wiem, czy się pan nie myli. Nazywam się Maria Ferrato.

– Córka rybaka z Rowigno?

– Czy pan znał mego ojca?

– Ojcu pani jestem winien życie i pieniądze. Dlaczego przeniosła się pani aż tak daleko?

– Ojciec mój umarł w więzieniu. Byłam czas jakiś w klasztorze, gdzie się nauczyłam szyć. Czekałam aż mój mały braciszek, który był wówczas w ochronie klasztornej, skończy szkołę. Obecnie mieszkamy razem. Ludwik pracuje w fabryce, a ja zarabiam szyciem. Brat miał tu lepszą płacę, a ja wolałam być jak najdalej od miejsca, w którym tyle nieszczęść nas spotkało.

– Ponieważ jestem bezpośrednim sprawcą tych nieszczęść, obowiązkiem moim jest chociaż w części pani za to wszystko wynagrodzić. Mam nadzieję, że brat pani nie będzie protestował, jeżeli zabiorę was oboje na swoją wyspę. Towarzystwo pani będzie wielką pociechą dla tej biednej pani Bathary. Brat pani będzie miał takie zajęcie, jakie sobie wybierze a ja pozostanę waszym wiecznym dłużnikiem.

– Ale na Boga, kto pan jest? Nie rozumiem za co nas tyle dobrodziejstw spotyka.

– Niech pani sobie przypomni jedną noc. Dawno już, piętnaście lat temu, i posiłek, i nocleg ofiarowany tak, z dobrego serca. I szlachetny postępek swego ojca, który musiał tak drogo okupić, a zrozumie pani, że tyle dobroci nie mogło zginąć bez śladu:

– Czyżby pan był?...

– Tym, któremu ojciec pani ocalił życie, a który teraz pragnie zwrócić chociaż w części swój dług jego dzieciom.

W tydzień później pani Bathary siedziała w towarzystwie Marii Ferrato na tarasie pałacu Antekirta. Niestety stan jej nie poprawił się, pomimo różnych środków przepisanych przez doktora. Była zawsze cicha, łagodna. Ale na wszystkie pytania odpowiadała niezmiennie: "Trzeba się spieszyć na ślub Piotrusia".

Maria Ferrato okazała się najcierpliwszą, najłagodniejszą opiekunką chorej. Od doktora dowiedziała się, że mąż nieszczęśliwej kobiety przebywał razem z doktorem ostatniej nocy

pod dachem jej ojca, i to jeszcze silniej przywiązało szlachetną dziewczynę do niej. O los brata była spokojna, gdyż doktor wysłał chłopca do szkoły technicznej, co było zawsze marzeniem młodego Ludwika, a na co skromne środki mu nie pozwalały. Maria miała pozostać na zawsze przy pani Bathary, ewentualnie miała na Antekircie zabezpieczony byt i spokojną starość. Nic więc dziwnego, że czuła ogromną wdzięczność dla doktora i w miarę sił starała się być mu pomocną. W parę dni później doktor wezwał do siebie Piotra.

– Mój drogi chłopcze, wypróbowałem wszelkich środków jakie medycyna zna, aby ulżyć twojej matce. Widzę, że ma dość silny i odporny organizm, a dzisiejsza jej choroba spowodowana jest jakimś faktem, o którym nie wiemy. Postarajmy użyć ostatniego środka. Może będzie silny, ale mam nadzieję, że skuteczny. Matka powinna się dowiedzieć, że ty żyjesz. Obmyśliłem sobie wszystko. Potrzebuję jeszcze twojej pomocy.

– Wiesz, doktorze, że jak najchętniej spełnię każde twoje żądanie.

Doktor wtajemniczył Piotra w swój plan. Omówiono kilka drobniejszych szczegółów i w kilka dni później, kiedy zmierzch zapadł, Borik ujął panią Bathary pod rękę i wolnym krokiem skierował się w szeroką cienistą aleję parku. Doktor z Pescadą i Matifu podążył za nimi w pewnym oddaleniu. Borik prowadził chorą do miejsca, gdzie doktor kazał wymurować grób i ustawić tablicę z napisem: "S.P. Piotr Bathary. Zgasł w 24 wiosnie życia". Chodziło o przypomnienie możliwie dokładnie tego zakątka na cmentarzu w Raguzie, gdzie biedna kobieta pogrzebała wszystko, co miała najdroższego na świecie. Doktor słusznie przypuszczał, że wstrząs nerwowy, jakiego chora dozna, wytrąci ją z martwoty, w której się pogrążyła. Rozległ się dźwięk dzwonu pogrzebowego. Borik zatrzymał się u stóp krzyża i szepnął:

– Proszę położyć naszemu Piotrusiowi parę kwiatów.

Ale chora odsunęła podawane róże i głosem zmęczonym, ale dość wyraźnym, odparła:

– Piotruś nie umarł. Nie mógł umrzeć. Powinien się spieszyć na swój ślub.

Słyszając te słowa Piotr, na znak dany przez doktora, wysunął się z ukrycia i ukląkł obok matki. Ujął delikatnie jej rękę w swe dłonie i powiedział:

– Masz rację, mateczko, nie umarłem. Jestem tu obok ciebie.

Chora spojrzała na mówiącego. Błysk świadomości zajaśniał w jej oczach.

– Piotrusiu – jęknęła i rozplakała się rzewnie.

Doktor rzucił się na ratunek. Przeniesiono chorą do powozu. Była osłabiona, ale patrzyła przytomnie i zdawała się budzić po silnej gorączce.

Późno w nocy otworzyła oczy i spojrzała na siedzącego u jej łóżka syna.

– Musiałam być bardzo chora, moje dziecko. Prawda? Tak dawno cię nie widziałam a tak chciałam ci powiedzieć, że powinieneś jak najprędzej poślubić Sawe.

– Czy mama mówi o Sawie Toronthal?

– To nie jest córka Toronthala. To dziecko Mateusza Sandorfa. Nazywa się naprawdę Sawa Ilona Sandorf.

– Jak to – zawołał Piotr, zrywając się z miejsca. – Skąd ta wiadomość?

Pani Bathary opowiedziała synowi o liście, jaki znalazła w domu po powrocie z podróży. Pani Toronthalowa ostatnim wysiłkiem woli napisała tę ważną wiadomość, przytaczając dokładną datę porwania dziecka. I znów nazwisko Sarcany'ego było wmieszane w tę sprawę. Czując zbliżającą się śmierć postanowiła złamać przysięgę milczenia, jaką na niej wymusił mąż i pragnęła ratować swe przybrane dziecko od okropnego małżeństwa. Prosiła o pomoc panie Bathary.

List gdzieś zaginął, ale wiadomość, jaką Piotr usłyszał, wstrząsnęła nim do głębi. Długo tłumiona miłość do uroczej dziewczyny wybuchła ze zdwojoną gwałtownością. Dziś nic mu już nie mogło bronić marzenia o niej. Ale teraz należało ją przede wszystkim wyrwać z rąk dwóch niebezpiecznych łotrów. Nie bacząc na późną godzinę, Piotr zostawił matkę pod opieką Marii i zapukał do gabinetu doktora.

Ale ten również nie spał. Siedział przy biurku pogrążony w ciężkiej zadumie. Piotr przypadł mu do kolan i ujmując serdecznym ruchem obie dłonie doktora, powtórzył mu wielką nowinę zasłyszaną przed chwilą od matki.

Doktor zerwał się. Był blady i ręce mu drżały.

– Mój Boże, i ja widziałem ją tyle razy \ nie poznałem. Bogu niech będą dzięki za to, że żyje, że ją zobaczę. Mam dla kogo żyć Piotrze. Jedziemy zaraz po nią.

Piotrowi nie trzeba było dwa razy tego samego powtarzać. Wezwano Matifu i Pescadę i w godzinę potem łódź motorowa "Electric 4" sunęła ku brzegom Riwiery.



Doktor Antekirt, a właściwie, jak go już słusznie nazywać możemy, hrabia Mateusz Sandorf, miał pewne wiadomości od swoich agentów, którzy go zawiadomili, że bankier Toronthal i Sarcany pojechali do Monte Carlo. Natomiast Sawa gdzieś znikła i nikt nie wiedział, gdzie przebywała. Najważniejszą więc rzeczą było zmusić obu współników do zdradzenia miejsca jej pobytu. Po przybyciu do Monte Carlo, na brzeg wyszedł tylko Pescada. Ubrany elegancko, zatrzymał się w jednym z najwyk–wintniejszych hoteli i tegoż samego dnia udał się do domu gry. Spacerował po salach, przegrał tu i ówdzie kilkanaście franków, a tymczasem bacznie przyglądał się grającym. Nareszcie przy jednym ze stołów dostrzegł bankiera. Za jego krzesłem stał Sarcany. Ale sam nie grał. Natomiast widać było, że szczęście nie dopisuje bankierowi. Błady, z zaciśniętymi ustami, dawał stawki i nagle wstał od stołu i chwiejnym krokiem wyszedł z sali. Sarcany podążył za nim. Pescada, przyglądający się im od dłuższego czasu, usłyszał koło siebie szmer współczucia dla nieszczęśliwego gracza. Podobno w przeciągu tygodnia przegrał cały swój majątek, a dziś chciał się odegrać, lecz fortuna odwróciła się od niego.

- Pewnie palnie sobie w łeb – odezwał się jakiś Anglik.
  - Albo pożyczysz i znowu będzie grać – odpowiedział sąsiad.
  - Niewielu dziś chętnych do pożyczania. Szczególnie takim pechowcom.
  - Ten czarny, jego towarzysz, tak go ubrał – zaśmiał się ktoś trzeci. – Sam nie grał, a tylko przyglądał się grze i namawiał.
- Pescada wysunął się niepostrzeżenie do parku otaczającego dom gry. Szybkiem krokiem dogonił bankiera i Sarcany'ego, a widząc, że zamierzają usiąść w zacisznej, kamiennej grocie, wdrapał się na skały, z których grota była zrobiona. Niebawem doleciały go urywki rozmowy.
- Daj mi spokój, Sarcany. Nie będę więcej grał. Nie mam ani grosza.
  - Masz przecież jeszcze trochę na rachunku w banku.
  - Ależ to moje ostatnie pieniądze. Jeżeli przegram je, zostanę nędzarzem.
  - Ależ przepowiadam ci, że jutro nam się poszczęści. Mam nawet pewną kombinację...
  - Daj mi spokój ze swoimi kombinacjami. Daleko mnie one zaprowadziły. Zabrałeś mi wszystko. Idź sobie i raz na zawsze zapomnij o mnie.
  - Nie tak gwałtownie, mój kochany. Spróbujesz jeszcze szczęścia jutro. A potem...
  - Nie będę grał!
  - Będziesz, mój kochany, będziesz. Wiesz dobrze, że tą drogą niedaleko zajdziesz. Mam cię w ręku.

– Wolę sobie w łeb palnąć, niż być w tym twoim ręku.

Z tymi słowy bankier wyszedł szybko z altany i skierował się w głąb ogrodu. Biegł prawie, nie oglądając się za siebie.

Pescada jak cień podążył za nim. Sarcany pozostał w altanie. Widocznie był bardzo pewny siebie i wiedział, że ofiara jego nie będzie miała dosyć odwagi, by wprowadzić w czyn swoje groźby. Bankier biegł coraz szybciej. Widocznie pod wpływem silnego zdenerwowania chciał być jak najdalej od swego prześladowcy. A chociaż nie miał zamiaru odbierać sobie życia, chciał być przez chwilę sam, by móc zastanowić się spokojnie nad swoim położeniem.

Nie zważał też bardzo na drogę, którą uciekał. Nie wiedział, że wiodła go na skaliste wybrzeże. Upadł na wystający cypel skalny i pozostał bez ruchu. Nie słyszał jak gdzieś w pobliżu zakwilił orzeł skalny. Odpowiedział mu pisk mewy. Jakieś kroki rozległy się w pobliżu. I nagle ciemna płachta spadła mu na oczy, a jakieś silne ręce schwyciły go, skrępowwały i podniosły. Stało się to tak szybko, że nie tylko nie zorientował się skąd został zaskoczony, ale nie mógł zrozumieć, co się z nim dzieje. Poczł, że ktoś go niesie, potem kładzie na dno łodzi. Jakieś ciche rozkazy, szept. Do jego uszu doleciało tylko pytanie, zadane widocznie jego prześladowcy:

– No, a ten drugi?

– Niestety uciekł, panie kapitanie. Strzelił do nas i znikł w zaroślach.

– Nie goniliście go?

– Mieliśmy rozkaz nie wchodzić do miasta.

– No trudno! A tego do celi nr 3.

## IX

Bankier otworzył oczy. Znajdował się w małej celi. Okrato– wane okienko wpuszczało trochę światła, ale było umieszczone tak wysoko, że nie sposób było przez nie wyjrzeć. Tapczan, stołek i stół przymocowany do ściany, to było całe umeblowanie nowego mieszkania bankiera.

Na stole stał dzbanek z wodą i kawałek chleba. Toronthal w głowę zachodził w czyim ręku się znajduje.

Mijały godziny. Nagle drzwi od celi otworzyły się i stanął w nich człowiek olbrzymiej postawy.

Spojrzał na bankiera i odezwał się łagodnym głosem:

– Proszę, niech pan pozwoli za mną.

Ten łagodny ton sprawił, że bankierowi przybyło odwagi.

– Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, jakim prawem więzicie mnie tutaj? Nie wiem, kto jest ten śmiałek, ale uprzedzam, że srodze będzie tego żałował.

Olbrzym, jak gdyby nie słyszał słów bankiera, powtórzył spokojnym głosem:

– Proszę iść za mną.

– Nie pójdę – krzyknął bankier.

Nagle stała się rzecz, której Toronthal w żadnym razie nie oczekiwał. Olbrzym przystąpił do niego i jednym potężnym ruchem rąk uniósł małego bankiera, krępując mu jednocześnie ręce i nogi, jak to czynią czasem niańki niegrzecznym dzieciom, i wyniósł z celi. Przeszedł długi korytarz, otworzył jedne drzwi, potem drugie, minął jakieś schody, znowu korytarz i nagle stanął w dużym, jasno oświetlonym pokoju. Tu puścił swego jeńca i wyprostował się. Pod oknem siedział wysoki starzec, obok znajdowało się jeszcze parę osób.

– Panie Toronthal – odezwał się starzec – proszę o ścisłe, a przede wszystkim zgodne z prawdą odpowiedzi. Gdzie zostawiłeś pan Sawę Ilonę Sandorf?

Na to nieoczekiwane pytanie bankier zdumiał się. Spojrzał na mówiącego.

– Przede wszystkim proszę o uwolnienie mnie z więzienia – odparł hardo. – Nikt nie ma prawa trzymać mnie tutaj wbrew mojej woli.

– Owszem, jest ktoś, kogo pan uwięził wbrew jego woli i który tym samym panu odplaca. Nie poznaje mnie pan. Jestem pana klientem sprzed piętnastu lat.

Bankier drgnął. Spojrzał rozszerzonymi oczami na mówiącego.

– Pan byłbyś...

– Tak. Mateuszem Sandorfem. A może jesteś ciekaw zobaczyć drugą swoją ofiarę. Piotrze, przywitaj pana bankiera.

Toronthalowiomal oczy z przerażenia nie wyskoczyły. Przed nim stał Piotr Bathary. Ten sam, którego Sarcany, za wspólnym porozumieniem, zabił, na którego grobie bankier był osobiście, gnany ciekawością, tak często spotykaną u zbrodniarzy, których wola bezwiednie kieruje na miejsce zbrodni.

Poczuł, że mu się zaczyna mącić w głowie i że prawdopodobnie nie ma już dla niego ratunku. Ale w ostatnim, bezsilnym porywie wściekłości postanowił milczeć, nie chcąc w niczym dopomóc swoim

prześladowcom. Sarcany był wolny, to prawda. On Silas odpokutuje za dwóch, ale nie zdradzi miejsca pobytu Sawy.

– Odpowiadaj pan – powtórzył hrabia. – Gdzie Sawa?

– Nie powiem nic. Nie wiem.

– Po raz trzeci pytam. Gdzie jest moja córka? Silas nie otworzył ust. Nagle potężna dłoń Matifu ujęła jego rękę.

– Czy nie słyszysz, o co cię pytają? No, gadaj pan!

Tu potężne palce Matifu zacisnęły się koło ręki bankiera. Poczul straszny ból w stawach. Ręka zdrętwiała i zwisała bezwładnie.

– O, puść mnie! Puść. Już powiem.

– Matifu, co robisz? – zapytał doktor.

– Panie kapitanie, to niechcący. Ja nie chciałem tak mocno.

– No dobrze, już dobrze. Użyjemy twego środka, o ile pan bankier będzie milczał.

– Powiem wszystko, ale pod warunkiem, że mnie wypuścicie i ten wielkolud nie będzie mnie dotyka),

– Gdzie jest Sawa?

– W Tripolisie, u Sarcany'ego.

– Jak mamy jej szukać? U kogo jest ukryta? Bankier milczał. Ale ręka Matifu podniosła się na wysokość jego ramienia. Przerazenie mignęło w oczach bankiera.

– Powiem, ale za to mnie zwolnicie. Jest u starej Namir, w domu Sidi Hazana.

– Dokąd udał się Sarcany?

– Z Monaco mieliśmy jechać na jego ślub z Sawą.

– Dostyc na dziś. Matifu, odnieś go z powrotem do celi. Ale Silas na widok ramion olbrzymia zawołał:

– Pójdę sam. Proszę, niech on mnie nie dotyka. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, skinął na Piotra.

– Czeka nas najtrudniejsza sprawa, ale mam w Bogu nadzieję, że ją wygramy. Trzeba się tylko spieszyć, bo każda chwila droga. Kiedy Matifu powróci, powiedz mu, że za godzinę wyruszamy do Tripolisu. Niech przedtem przyjdzie do mnie z Pescadą.

23 września na ulicach Tripolisu gwarno było i rojno. W dzielnicy zamieszkałej przez ludność mahometańską wąskie, ciasne uliczki zapchane były gwarnym, rozbawionym

tłumem. Obchodzono doroczne święto bocianów, na które mieszkańcy miasta cieszyli się od dawna. Na placach i wzdłuż ścian domów kramarze rozłożyli towary. Przekupnie ze słodyczami i wodą do picia nawoływali hałaśliwie. Kuglarze, sztukmistrze, zaklinacze węży, wróżbici obiecywali ciekawym niewidziane cuda. Tłum różnobarwny, roześmiany tłoczył się, śmiał, gapił, oczekując wieczora, który miały uświetnić wyścigi jeźdźców i iluminacja miasta. W gwarnym tłumie trzech mężczyźni w białych burnusach, jakie noszą krajowcy, zatrzymali się na rogu placu.

Jeden z nich, mały i szczupły, szepnął:

– Panie kapitanie, znalazłem. To ten duży dom na rogu placu. O, widzi pan, ten, który jest otoczony wysokim murem. Widać tylko gałęzie akacji rosnącej pod ścianą.

– Byłeś tam wczoraj?

– Do środka nie sposób się dostać. Są tylko jedne drzwi, a wszystkie okna wychodzą na podwórze.

– Dowiedziałeś się czego?

– Dowiedziałem się, ale nic dobrego. Gadałem z ludźmi na targu. Umiem trochę mówić tym narzeczem. Pilnują jej bardzo. Jest zamknięta we dnie i w nocy. Ta Namir nie odchodzi od niej.

– A Sidi Hazam?

– Właśnie liczymy na to, że on obchodzi uroczyste święto. Od rana już się kręci po ulicach i służbie pozwolił też się bawić.

– A gdzie Sarcany?

– Właśnie to najgorsze, że Sarcany dziś odprawia wartę w domu Sidi Hazama. Podobno pojutrze ma się odbyć jego ślub z panną Sawą. Tylko się święto skończy.

– Jak to?

– Podobno Sarcany jest też mahometaninem, jeżeli ten łotr jeszcze jakąkolwiek religię uznaje. I pojutrze ich mułła, czy jak go tam nazywają, da mu ślub.

– Nie dopuścimy do tego.

– Właśnie dziś jest najodpowiedniejsza chwila, panie kapitanie. Niech nam pan pozwoli działać. Proszę tylko, żeby pan i pan Bathary byli w pobliżu. No, i rozumie się, uzbrojeni.

– Co zamierzasz robić?

– Nie mogę panu dokładnie tego powiedzieć, bo sam jeszcze nie obmyśliłem z Matifu szczegółów. W każdym razie dostanę się tam do środka.

– Ja pójdę z tobą – zawołał Piotr.

– Ale nie tą samą drogą – uśmiechnął się Pescada. – Tymczasem żegnam panów, bo roboty jeszcze mamy dużo. Za godzinę proszę być na tym placu.

Mały akrobata zniknął a doktor i Piotr poczęli się wolno posuwać w zwartym tłumie. Doktor, władający biegle kilkoma narzeczeniami arabskimi, mógł się z łatwością porozumieć z otaczającymi go ludźmi. Piotr milczał, zbyt był bowiem wzruszony, by móc o czym innym myśleć i mówić niż o głównym celu swojej wyprawy do Tripolisu.

W godzinę później stanęli na placu w pobliżu domu Sidi Hazama. Zgromadziły się tu już tłumy ludzi, które zwartym kołem otaczały parę linoskoczków popisujących się na środku placu. Jeden z nich, olbrzym o nadzwyczajnej sile, wprowadzał w podziw widzów, dźwigając ciężary, łamiąc podkowy lub podnosząc po kilku mężczyzn, ciekawych nowych wrażeń. Dźwigał ich jedną ręką, pozwalał stawać na ramionach i głowie, mocował się z nimi, kładąc zawsze swych przeciwników na obie łopatki. Ale zachwyt tłumu dosięgnął zenitu, kiedy podniósł drąg, na którego końcu wisiał uczepony mały, zgrabny człowieczek. Olbrzym był już tylko podstawą, oparciem, estradą, na której akrobata wykonywał najtrudniejsze łamańce. Dosłownie latał, zniknął, zjawiał się znowu. Olbrzym oparłszy drąg na swej potężnej piersi, zbliżał się stale, chociaż nieznacznie, do muru okalającego dom Sidi Hazama. Drąg sięgał prawie do gałęzi akacji. Mały akrobata, uczepony jedną ręką, wykonywał jakieś zawiłe łamańce, gdy nagle z przeciwnej strony placu rozległy się krzyki, strzały i wiwatowanie. Nadciągał oddział jeźdźców, który miał się popisywać zręcznością i odwagą. Tłum na widok nowej zabawy pociągnął za nimi. Olbrzym wykonał jeszcze kilka kroków, po czym rzucił drąg na ziemię i zmieszał się z tłumem. Gdzie się podział linoskoczek, nikt dokładnie nie wiedział. Zapadający zmrok utrudniał przyglądanie się ćwiczeniom na tak znacznej wysokości.

Pescada, wywijając kozły na końcu drąga, rzucał raz po raz spojrzenie w głąb podwórza Sidi Hazama. Dostrzegł akację rosnącą tuż przy ścianie i w lot zrozumiał, że po jej gałęziach można będzie zsunąć się na dół. Dostrzegł galerię obiegającą naokoło całe podwórze i, co najważniejsze, ani śladu człowieka. Widocznie na bazarze dobrze go dziś poinformowano. Jednym zręcznym, śmiałym skokiem przerzucił się z drąga na akację i zawisł na gałęzi. Obejrzał się wokoło, namacał nóż, schowany za ubraniem, i począł cicho zsuwać się w dół. Wkrótce stanął na poręczy galerii. Lekko jak duch zeskoczył i począł się skradać wzdłuż ścian. Minął jedno załamanie, potem drugie. Z ciemnych małych okien nie wymykał się najdrobniejszy promień światła. Nagle posłyszał skrzyp otwieranych drzwi. Przypadł do ściany i rozpląszczył się dosłownie na murze. O kilka kroków przed nim otworzyły się drzwi i stanęła w nich Namira, którą Pescada widywał w Raguzie. Zataił dech w piersi. Cofnąć się nie miał już czasu. Ale Namira skręciła w przeciwną stronę i weszła do dalszych pokoi. Jednym skokiem znalazł się Pescada na progu izdebki, z której wyszła stara Arabka. Mrok panujący nie pozwolił mu rozróżnić dokładnie sprzętów. Ale po chwili dostrzegł w kącie duży stos dywanów, a na nich leżącą Sawę. Dziewczyna miała zamknięte oczy. Może spała, a może nie chciała patrzeć na wchodzącego Pescadę. Wzięła go może za starą czarownicę, która już tyle jej nadokuczała. Pescada lekko, na czubkach palców, podsunął się do leżącej i szeptem cichym, ale wyraźnym, odezwał się po węgiersku:

– Proszę, niech pani nie krzyknie. Niech się pani nie porusza. Przysłał mnie tu pan Piotr Bathary.

Sawa zerwała się i siadła na posłaniu. Opanowała się jednak i nie zdradziła krzykiem. Spojrzała bacznie na stojącego przed nią człowieczka, ubranego w dziwaczny kostium akrobata.

– Kto pan jesteś?

– Stary znajomy. Spotkaliśmy się kiedyś na wiosnę na placu w Raguzie. Proszę, niech mi pani zaufa. Uciekajmy. Pan Bathary czeka na panią.

– Jestem gotowa. Chodźmy.

– Zaraz, zaraz. Czy to stare babsko wróci tu jeszcze?

– Powinna niedługo wrócić. Poszła do kuchni po kolację dla mnie.

– Aha! Więc mamy przed sobą jakieś kilka minut. Czy pani zna rozkład tego domu?

– Nie. Nie wychodziłam z tego pokoju.

– No, to trudno. Spróbujemy szczęścia.

Sawa podała posłusznie rękę akrobacie i wyszli na galerię. Posuwali się lekko i cicho, sunąc wzdłuż ścian domu. Co parę chwil stawali, nad słuchując bacznie. Nareszcie doszli do schodów, prowadzących na podwórze. Pescada miał zamiar dotrzeć do drzwi i złamać zamek nożem. Liczył też na pomoc z zewnątrz. Już tylko niewielka przestrzeń dzieliła ich od upragnionego celu. Nagle na piętrze stuknęły jakieś drzwi raz i drugi, rozległy się szybkie kroki i głośny krzyk:

– Sarcany, Sarcany! Uciekła! Zatrzymaj Sawę!

Sawa i Pescada stanęli jak wryci. Nagle na dole otworzyły się drugie drzwi i wypadł z nich Sarcany. Rzucił się na schody. Na ten widok Sawa zawróciła i poczęła szybko uciekać. Pescada podążył za nią. Młoda dziewczyna wróciła na galerię i rzuciła się w kierunku swego pokoju. Pescada zatrzymał się. Czyżby chciała dobrowolnie wrócić do więzienia? Ale tymczasem stała się rzecz zgoła nieoczekiwana. Sawa biegła wprost na Namirę, która, rozłożywszy ręce, gotowała się pochwycić zbiega. Nagle młoda dziewczyna odepchnęła z taką siłą Namirę, że stara, nie spodziewając się ciosu wymierzonego młodą, silną ręką, zachwiała się i upadła. Sawa tymczasem dopadła miejsca, gdzie galeria tworzyła wystający balkon, jednym skokiem przesadziła mur i zniknęła. Teraz dopiero Pescada ochłonął i zrozumiał. Na wieść, że Piotr żyje, Sawa otrząsnęła się z apatii i postanowiła bronić się z całych sił. Widząc, że jej odebrano możliwość ucieczki, wołała śmierć, niż małżeństwo z Sarcany. Namira ochłonawszy ze zdumienia i upadku, zerwała się na równe nogi i pobiegła za Sawa. Widząc jednak, że dziewczyna przeskoczyła mur, zawróciła i pobiegła w stronę schodów. Spotkała się z Sarcany. W kilku oderwanych słowach opowiedziała co zaszło. Sarcany podał jej klucz do bramy i zawołał:

– Biegnij na dół. Sprzątnij zaraz ciało. Ja idę po strzelbę. Spiesz się.

Na to czekał Pescada. Pomknął jak duch za starą Arabką i w chwili, kiedy wkładała klucz do bramy, zarzucił jej na usta szal, którym stara była okryta, zakneblował usta, wyrwał klucz z ręki i odepchnął z całych sił. W mgnieniu oka otworzył drzwi, skoczył i znikł w ciemnościach.

W parę chwil później nadbiegł Sarcany. Stara oswobodziwszy się z krępujących ją więzów poczęła lamentować, tłumaczyć się i usprawiedliwiać. Ale Sarcany, widząc, że skutkiem jej niezaradności dał się jakiemuś nieznanemu osobnikowi wywieść w pole, że stracił Sawę, wpadł we wściekłość. Z głuchym przekleństwem rzucił się na Namirę i podnosząc zaciśnięte pięści uderzył ją z całych sił w głowę. Stara z cichym jękiem osunęła się martwa na ziemię. Tak się odwdzieczył za jej psie przywiązanie i miłość, którą dla niego żywiła.

### XIII

Matifu, rozstawszy się w trochę dziwny sposób ze swoim kolegą, nie przestawał krążyć koło domu Sidi Hazama. Obliczał sobie dokładnie ile czasu musiał zużyć jego mały przyjaciel na rozejrzenie się w polu działania. Przyłożył ucho do ściany. Doleciał go skrzyp otwieranych drzwi, a w jakiś czas później krzyk i tupot biegnących nóg. Przeczuwając, że to Pescada ucieka, począł biec równoległe z nim, tylko z zewnętrznej strony muru. Dostrzegł wystający balkon. Jednym skokiem był pod nim i



spojrzał w górę. Jakaś postać zarysowała się na szczycie muru i skoczyła na dół. Matifu wparł się mocno nogami w ziemię i rozstawił szeroko ręce, jak to zwykł czynić, kiedy żonglował swym małym przyjacielem i zachwycał widzów zręcznością. Nawet się nie zachwiał, kiedy w ramiona spadła mu kobieta. Postawił ją lekko na ziemi i odezwał się żartobliwie:

– Jest pani niewiele cięższa od Pescady. Mam nadzieję, że się pani nic nie stało.

Sawa spojrzała przytomnie.

– Panie, uciekajmy! Gonią mnie.

– Zaraz to zrobimy. Ale muszę zabrać z tego przeklętego domu jeszcze jedną małą osóbkę. Proszę, niech się pani połączy z tymi dwoma panami a ja...

Nagle nadstawił uszu i jak strzała pomknął do przeciwległej ściany, w której mieściły się małe drzwi. Zza muru doleciał go jakiś hałas i szamotanie. Nagle drzwi otworzyły się z impetem i wybiegł z nich Pescada, a za nim Sarcany. Mały linoskoczek począł uciekać, klucząc jak zając. Sarcany natomiast zatrzymał się o kilka kroków przed domem i, podniósłszy strzelbę do ramienia, wziął na cel uciekającego.

Na ten widok krew zawrzała w Matifu. Jak lwica, broniąca swe małe, skoczył do Sarcany'ego. Jednym potężnym uderzeniem wytrącił mu strzelbę z ręki i z całych sił uderzył go pięścią w pierś. Sarcany jęknął i padł zemdłony na ziemię. Nagle obok Matifu stanął Mateusz Sandorf.

– Co robisz Matifu? Miałeś go wziąć żywcem.

Olbrzym oprzytomniał. Bez słowa nachylił się nad leżącym. Dźwignął go na ręce i, owinąwszy w długi płaszcz, począł iść za doktorem. Po chwili połączyli się z Piotrem i Sawą. Mały Pescada już przebrany, a właściwie zawinięty w długi burnus, opowiadał Piotrowi swoje przejścia.

Noc ciemna pozwoliła im wyjść niepostrzeżenie z miasta. A w godzinę później łódź podwodna unosiła wszystkich w kierunku Antekirty.

## XIV

Czy są w języku ludzkim wyrazy, którymi można by opisać pełnię szczęścia ludzkiego. Kto zdoła wypowiedzieć drżenie serca, wezbranego wdzięcznością do Boga, za doznane dobrodziejstwa. Kto opisze blask oczu promieniujących radością i łzami wesela? Kto zdoła wypowiedzieć myśli tłoczące się w głowie. Tyle, tyle rzeczy przeżytych, przebolewałych, a należących już szczęśliwie do przeszłości.

Mijały dni za dniami, a Sawa nie mogła oprzytomnieć z nadmiaru przeżytych wrażeń. Miała ojca, ona, biedne, bezbronne dziecko, z którym los obchodził się tak nielitościwie. Miała ojca dzielnego, rozumnego, gorącego patriotę, człowieka, którym się mogła szczycić. Ona, która tak niedawno uważając się za córkę Toronthala, wstydzić się musiała za czyny tego człowieka.

Przy boku swym miała narzeczonego, kochanego i kochającego. Nie groziło jej małżeństwo ze zbrodniarzem. W pani Bathary odnalazła drugą matkę, pełną serdeczności i miłości. Wokół siebie twarze życzliwe, uśmiechnięte. A w przyszłości życie pełne szczęścia, wolne od trosk i zmartwień. Toteż młoda dziewczyna chodziła, jak we śnie, nie rozumiejąc częstokroć, co do niej mówiono. Ojciec nie rozstawał się z nią ani na chwilę. Narzeczonego dni całe spędzał przy niej, a wszyscy starali się odsunąć od niej jak najdalej smutne wspomnienia. Nic też dziwnego, że nie wiedziała nic o losie swoich prześladowców. Nie pytała o nich. Zdawało się, że nie pamiętała zupełnie, że kiedyś istnieli.

Natomiast doktor i Bathary myśleli często o losie swoich jeńców. Sarcany przywieziony do podziemi zamku Antekirta, został umieszczony w celi sąsiadującej z celą bankiera i Car-peny. Natomiast żaden z nich nie wiedział o drugim. Godziny spacerów i posiłków były tak rozłożone, że każdy myślał, że jest sam tylko więźniem potężnego doktora. Dozorcy nie odpowiadali na zadawane im pytania i nic nie mówiło więźniom, jaki los ich czeka.

Tymczasem mijały tygodnie i zbliżał się dzień ślubu Sawy Ilony Sandorf z Piotrem Batharym. Pewnego wieczora poprosił doktor parę narzeczonych do swego gabinetu.

– Moje dziecko – zwrócił się do córki – za kilka dni odbędzie się wasz ślub. Wszelkimi kwestiami finansowo-prawnymi, związanymi z odzyskaniem dla ciebie spadku, zajmie

się Piotr. Sądzę, że nie będziecie mnie na długo ani często opuszczali. Wiesz przecież, że ze swej kochanej wyspy nie ruszę się do śmierci. Ale mam jeszcze do uregulowania jedną sprawę, w której chcę zasięgnąć twojej rady. Znasz dobrze szczegóły spisku, aresztowania i śmierci moich dwóch najlepszych przyjaciół. Ponieważ ja jeden uniknąłem strasznej śmierci, postanowiłem odszukać winnych i ukarać ich tak, jak na to zasługiwali. Widocznie zamierzenia moje nie sprzeciwiały się wyrokowi Opatrzności, skoro dziś jestem stokrotnie przez Stwórcę wynagrodzony i za wszystkie moje cierpienia otrzymałem zadośćuczynienie. A ponadto wszystkich trzech zdrajców mam w swym ręku. Nadszedł dla nich czas kary. Gdybym się odwołał do sądów, wznowił raz jeszcze sprawę, poruszył stare, zapomniane dzieje, jestem pewien, że osiągnęłaby tych trzech zbrodniarzy karząca ręka sprawiedliwości. Poza sprawą zdradzenia spisku, mają tyle zbrodni na sumieniu, że nie uniknęliby szubienicy. Ale nie chcę sądów ludzkich. Za śmierć moich dwóch przyjaciół, za moją tułaczkę, wreszcie za cierpienia, których ty, moje dziecko, doznałaś, postanowiłem ukarać ich sam. Chodzi tylko o wymiar i rodzaj kary. Nie chcę być stronniczym. Powiedz na jaki rodzaj pokuty zasłużyli według ciebie ci ludzie?

Ilona podniosła na ojca swe promienne oczy.

– Moje cierpienia i doznane przykrości są drobnostką w porównaniu z tym, coś ty, ojcze, przecierpiał, i biedna pani Bathary. Wasz głos byłby w tej sprawie decydujący. O jedno cię tylko ojcze poproszę. Nie skazuj ich na śmierć.

– Dlaczego?

– Mam wrażenie, że dopóki człowiek żyje, może się jeszcze poprawić. Może i w tych sercach przemówi sumienie.

– Jakże to, moje dziecko? Mam ich puścić wolno? Przecież tacy ludzie, nie mogąc szkodzić nam, nie przestaną być szkodliwi dla społeczeństwa. Czy sądzisz, że Sarcany nie zorganizuje nowej szajki bandytów, a Carpena nie będzie mu w tym pomagał? Czy myślisz, że Toronthal nie zacznie znowu nadużywać zaufania łatwowiernych ludzi?

– Być może, ojcze. Ale pobyt w więzieniu nie poprawi ich. Daj im jakąś pracę. Antekirta jest przystanią tylu nieszczęśliwych. Znajdzie się miejsce i dla nich.

– Antekirta jest mieszkaniem ludzi wolnych, Tych trzech musiałbym strzec nieustannie.

– A gdyby posiać ich na Imale – odezwał się Piotr, przysłuchując się w milczeniu całej rozmowie.

– Jak to, a nasz skład prochu i amunicji?

– Proszę pana, nasza prochownia jest tak ukryta w podziemiach, a dostęp do niej tak trudny, że ktoś nie znający planu, nigdy do niej nie trafi.

– Co to jest Imala? – spytała Ilona.

– Widzisz dziecko, ze względu na bezpieczeństwo Antekirty i jej mieszkańców, kazałem przenieść prochownię i składy amunicji na małą wysepkę, która również do mnie należy, a jest oddalona o 5 kilometrów od Antekirty. Nie byłeś jeszcze w zachodniej części wyspy. Tam z niewysokiego pagórka widać dokładnie drzewa i krzewy na Imali. Założyliśmy tam duży ogród. Zbudowałem kilka domków dla ogrodnika i jego pomocników.

– Piotr ma słuszość, ojcze – odparła Ilona. – Przenieś ich na tę wyspę. Pozwól im pracować w ogrodzie. Jestem pewna, że samotność i obcowanie z przyrodą pozwolą im zastanowić się głębiej nad ich przeszłością. A z czasem wykierujesz ich na obywateli godnych zamieszkania na Antekircie.

– Może masz słuszość, dziecko. Jutro nasi więźniowie będą odwiezieni na Imale. Poproszę cię Piotrze, żebyś był łaskaw dopilnować, żeby im niczego na nowym gospodarstwie nie brakowało. Niech się zabiorą do uczciwej pracy.

Na drugi dzień rano wyprowadzono więźniów z cel. Dozorca przyniósł im nowe ubrania, płaszcze i wręczył każdemu z nich kuferek z niezbędną bielizną i ubraniem. Po czym trzy łodzie, płynące w znacznym oddaleniu od siebie, przewiozły Sarcany'ego, Toronthala i Carpenę na małą wysepkę. Tu każdemu z nich dozorca wskazał mały domek, zaopatrzony we wszystko co człowiek pracujący na roli potrzebować może. Pokazał kawałek ogrodu, który więzień miał uprawiać i zapowiedział, że raz na tydzień będzie przyjeżdżał ktoś z Antekiry. Plony zebrane przez więźniów mogły być w dowolnej ilości zużyte na ich własne potrzeby, reszta sprzedana dozorczy. Pieniądze uzyskane w ten sposób miały stanowić kapitał, który zostanie wręczony więźniowi wtedy, kiedy okaże się godny zamieszkania na Antekircie.

Skazani rozmaicie wysłuchali tego dziwnego wyroku. Nie wiedzieli nawzajem o swoim istnieniu. Nie wiedzieli również, że za jakąś godzinę spotkają się na wysepce. Carpena nie zrozumiał wiele z przemowy dozorczy. Jasnym mu tylko było, że go nie zabiją ani zamkną w ciemnym lochu, a będzie mógł przebywać na świeżym powietrzu i pracować tak, jak to robił w młodości. Przyjął więc swój wyrok z uśmiechem. Torntal przygnębiony wysłuchał obojętnie wszystkiego, co mu powiedział dozorca, i milcząc skierował się w stronę małego domku, który miał być odtąd jego mieszkaniem. Natomiast Sarcany rozglądał się bacznie na wszystkie strony. Zaśmiał się ironicznie słuchając słów dozorczy i odparł, wzruszając ramionami:

– Grubo się mylicie, sądząc, że będę pracował na waszego doktora.

Po czym skierował się w głąb wysepki, postanawiając zbadać jej położenie i skombinować plan ucieczki.

Na Antekircie tymczasem wszyscy odetchnęli, pozbywszy się więźniów. Poczęto robić wielkie przygotowania do ślubu. Doktor bowiem pragnął, żeby w tej uroczystości wzięli udział wszyscy mieszkańcy szczęśliwej wyspy.

W tydzień później w małym jasnym kościółku ksiądz połączył stulą rękę Piotra Bathary'ego i Sawy Ilony Sandorf. Wkrótce potem młoda para wyjechała na krótki czas na Węgry, gdzie Piotr Bathary począł dochodzić praw majątkowych swojej młodej żony.

Na wyspie pozostał w zamku Mateusz Sandorf, pani Bathary, Maria, Borik, Matifu i Pescada. Pewnego dnia doktor wezwał obu przyjaciół do siebie.

– Moi drodzy! Minął już rok jakżeśmy się związali dobrowolną umową. Nie miałem lepszych i bardziej oddanych sobie przyjaciół i sprzymierzeńców. Ale nadeszła godzina porachunków. Pamiętam, że chcieliście obaj wrócić do Francji. Przygotowałem więc dla obydwóch umówioną sumę. Chciałem tylko wiedzieć, kiedy chcielibyście wyjechać i czy nie mógłbym w czymkolwiek jeszcze wam pomóc?

Obaj przyjaciele nie odpowiedzieli ani słówka. Matifu, czerwony jak burak, miał czapkę w rękę, przestępując z nogi na nogę. Natomiast Pescada począł się kręcić niespokojnie i raz po raz trącał w bok swego przyjaciela.

– No gadajże, przecież to twoja sprawa. Doktor na ten widok uśmiechnął się.

– Cóż się stało Matifu? Czyżby tak odważnemu chłopakowi zabrakło tym razem śmiałości?...

– Bo ja... bo ja... – jękał olbrzym. – Niech Pescada powie. Jemu to przyjdzie łatwiej.

– Powiedz, Pescado – zachęcał doktor.

– No pewnie, że powiem, ale nie sądziłem, że ten Matifu taki niedołęga. Nic bez mnie nie potrafi. Otóż, proszę pana, Matifu wcale nie ma ochoty wracać do Francji. Przeciwnie, chciałby dostać w dzierzawę działkę ziemi, która przylega do zamku od południowej strony, a która jest bez użytku. Chciałby wybudować sobie domek i... i...

– No i cóż?

– I ożenić się, proszę pana.

– Z kim?

– Z Marią, proszę pana. Ale jeżeli on tak zawsze będzie milczał, to pewnie ja się będę musiał za niego oświadczyć, a może i ożenić.

– To, to już sam zrobię – bąknął Matifu. – Proszę pana, Maria dawno mi sprzyjała. Tylko nie chciała opuścić pani Bathary i pana. Dlatego nie wiedziałem, co mam robić.

– Ależ naturalnie, zostań, mój kochany chłopcze. Sprawę ziemi załatwimy dziś jeszcze. Na razie możesz mieszkać w pałacu, a domek wybudujemy za miesiąc. Zostaniesz obywatelem Antekiry. No a ty, Pescada, kiedy zamierzasz wyjechać?

Bezgraniczne zdumienie odbiło się na twarzy małego linoskoczka.

– Jak to wyjechać? Ja bez Matifu? Ja zostaję z Matifu. Znajdzie on w swoim domku pokoik dla mnie. A pracuję w warsztatach i nie będę mu ciężarem.

– No, to chwała Bogu – zaśmiał się doktor. – Spadł mi ciężar z serca. Bo przyznam się wam, że żał by mi było rozstawać się z wami.

– Toteż nigdy to nie nastąpi, panie kapitanie – odparł Matifu. – Będzie pan miał w nas zawsze oddanych ludzi.

– No, a powiedzcie mi, co się dzieje na Imali. Zdaje mi się, że ostatnio Matifu jeździł na wyspę z dozorcą.

– Owszem byłem – odparł olbrzym. – Ale proszę pana, diabła to nawet anioł nie poprawił. Widziałem tylko Carpenę. Trochę pracuje, ale to próżniak i naprawdę to woli się wylegiwać na słońcu niż zabrać się do pracy.

– No, a dwaj inni?

– Bankier nie robi nic. A Sarcany grozi, że ich wszystkich własnoręcznie zadusi. Mówi, że gdyby nie oni, nigdy by nie wpadł w pana ręce. Klóćą się podobno cały dzień.

– Czy niczego im nie brak?

– Ale, broń Boże. Pan Piotr zaopatrzył ich obficie we wszystko, czego dusza zapragnie. To bogata i urodzajna wyspa. Ogrodnik, który tam mieszkał, a teraz przeniesiony został do pałacowego parku, nie może odżałować mieszkania na Imali.

– No i życzy tym łotrom prędkiej i gwałtownej śmierci – wtrącił z uśmiechem Pescada.

Doktor zamyślił się. Pożegnał obu przyjaciół i począł zastanawiać się, czy jego wymiar sprawiedliwości osiągnie upragniony cel Sawy.

Ale widocznie ciche życzenie ogrodnika z Imali miało jakąś nadzwyczajną siłę, bo pewnej nocy mieszkańcy Antekirty zbudzeni zostali ogłuszającym hukiem. Nie ulegało wątpliwości, że prochownia na Imali wyleciała w powietrze. Od strony bowiem wysepki nadciągnął ciężki obłok gryzącego dymu. Ze względu na bezpieczeństwo swoich ludzi, doktor nie pozwolił jechać nikomu na wysepkę wcześniej niż w kilka godzin po wybuchu. O świcie łódź z kilkoma marynarzami i Matifu skierowała się na Imalę. Straszny widok przedstawił się ich oczom. Z podziemia, gdzie była mała prochownia i skład broni, nie pozostało ani śladu. Głęboka wyrwa w ziemi wskazywała tylko dokładnie miejsce, gdzie nastąpił wybuch. Szczęściem, że siła wybuchu została skierowana w stronę morza i wypiełgowany ogród, a przede wszystkim mieszkanie ogrodnika, uległy tylko drobnym uszkodzeniom. Wypadły szyby i zarysował się mur w oranżerii. Natomiast nie znaleziono ani śladu owych trzech więźniów. Widocznie zginęli przy wybuchu. Czy był to przypadek, który wprowadził ich na 104

ślad prochowni, czy piekielna zemsta Sarcany'ego, trudno odgadnąć. W każdym razie mieszkańcy Antekirty zostali raz na zawsze oswobodzeni od swych niemiłych sąsiadów, a ogrodnik jeszcze tegoż wieczora powrócił do pielęgnowania pnących róż, które powinny były zakwitnąć na przywitanie Sawy Ilony i które staruszek ochrzcił nazwą "Sawa la bella".